



Rok IV
Łódź, 18. VIII. 63.
Nr 33 (285)
Cena — 1 zł.

odgłosy

ZBIGNIEW NIENACKI

REKLAMA i ANTYREKLAMA

WIESŁAW JAŹDZYŃSKI

Dlaczego moda jest szkodliwa?

Mam tu na myśli uleganie wymogom mody w dziedzinie polityki kulturalnej. Gdzie indziej np. gdy mówimy o spodniach, koszulach, sukniach i innych częściach garderoby — wszystko jest w porządku, holdowanie modzie jest jak najbardziej potrzebne, świad czy o dbałości o siebie, zwiastuje pewien postęp. Z pewnością można powiedzieć, że szerokie spodnie, zbyt długa suknia, wywątowana marynarka są oznakami swoistego zacołania. Inaczej jest jednak z modą, kiedy mówimy o wyposażeniu intelektualnym człowieka, o jego kulturze. Tutaj bowiem modniś kulturalny, ów fireyk zalecający się do Szekspira i współczesnej literatury, ów rzekomym przyjaciel i znawca wybitnych osiągnięć we wszystkich dziedzinach sztuki i nauki, pusty w gruncie rzeczy i zdeorientowany bywa często rezultatem właśnie mody, jak najgorzej pojętej mody, której ulegamy w naszej polityce kulturalnej.

LAPANIE NA PRZYNETĘ

Myślę, że bardzo istotnym grzechem w polityce kulturalnej jest fałszywe z gruntu przekonanie, że ludziom nie bardzo chce się żyć kulturalnie, uciekała dranie, od kultury. A jeżeli im się nie za bardzo chce, trzeba ich znieść, trzeba tę kulturę atrakcyjnie sprzedawać, dobrze reklamować, przykrawać do tzw. przeciętnego gustu. I oto jesteśmy świadkami łapania ludzi jak ryby — na dobre robaki, na blizszka i na podrywke. Ubiegłego roku modna była u nas sztuka teatral-

na Faulknera pt. „Requiem dla zakonnic”. Popularny „Przekrój”, prawodawca w dziedzinie mody, tak ową sztukę reklamował:

„Murzyńska piastunka (była prostytutka) morduje białe dziecko. Zbrodnia i kara. Panna z dobrego domu, perwersja i zbroczenie. Modły, pokuta, odkupienie win i grzechów”.

Nic tu dodać nie ująć, westchnąć raczej głęboko nad taką polityką zachęcania widza do bywania w teatrze. Bo oto wkraczamy w niezwykłą dziedzinę pozorów, przestajemy odróżniać kolory, choć je widzimy, wszystko co jest czymś udaje zupełnie co innego dla rzekomego dobra mas. To samo mówimy niegąc do Faulknera, co i do tandetnego kryminału, pierwsze nie jest drugim, drugie nie jest przeciw pierwszym, a tak ma wyglądać w oczach przwecanego odbiorcy.

Wśród wielu naszych działaczy kulturalnych zyskała prawo obywatelstwa moda na tzw. uatrakcyjnienie kultury. Uatrakcyjnić, koniecznie uatrakcyjnić, inaczej nie będą do mojej świetlicy przychodzili, nie przyjdą do mojego klubu, nie będą czytali, nie będą dyskutowali, przeżywać też nie będą, tylko jak tu, u diabła uatrakcyjnić? Tacy działacze przypominają nieco nauczycieli sprzed dziesięciu lat, którzy każdy temat lekcyjny musieli usktualnić. Zdarzyło się, że pewien biolog przerabiał właśnie temat pt. woda.

Dalszy ciąg
na str. 2



IMPRESJE JUGOSŁOWIAŃSKIE — na str. 5

Jest w Polsce kilka instytucji, dzięki którym czujemy się — jak powiada się w snobistycznych towarzystwach — „jak w Europie”. Instytucje te uprawiają reklamę na tak szeroką skalę, że aż serce rośnie z podziwu i zachwytu. Ich reklamowe slogany ścigają nas w tramwaju, w kinie, wabią nas kolorowymi neonami, wołają do nas ze szpalt czasopism; nawet na autostradach przypominają nam o sobie z ogromnych barwnych plansz. „Kierowco, czy już ubezpieczyłeś swój samochód?”. „Turysto, książeczka PKO zapewni ci spokojny wypoczynek”. „To — wyplaca miliony, buduje stadiony“ itd. itp. Czy mam coś przeciw reklamie? Ależ, nie, reklama jest dźwignią handlu. Czy mam coś przeciw Totalizatorowi Sportowemu? Nie, w każdym kraju powinna być jakaś instytucja dla frajerów, bo co frajerzy robiliby z pieniędzmi? Albo, czy budzi mój sprzeciw na przykład, PKO? Oczywiście, nie. Sprawa oszczędzania jest w naszym kraju szczególnie ważna i powinna być jak najszybciej propagowana. Gdybyśmy byli oszczędniejsi, na pewno lepiej by się nam działo. Zagadnienie oszczędzania — posiada u nas rangę niemal polityczną, nie ma co na ten temat ironizować.

Tak więc, zastrzegam z góry, nie będzie w tym artykule nic, co godziłoby na przykład w idee oszczędzania lub idee ubezpieczania siebie i swego mienia. Interesuje mnie tylko rozbieżność między reklamą i praktyką pracy tych reklamujących się instytucji. Innymi słowy, interesuje mnie problem: dlaczego mimo tak szalonej reklamy, idee oszczędzania czy ubezpieczania swego mienia, ciągle jeszcze z dużym oporem trafiają do przeciętnego obywatela w naszym kraju. Nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego ktoś woli trzymać 5 tysięcy złotych oszczędności w pończosze, a nie na książeczce PKO. Albo, czemu właściciel pojazdu nie chce ubezpieczyć samochodu, skoro, jak powiada reklama, PZU zwróci mu straty wynikłe z wypadku. Teraz już wiem, dlaczego tak się dzieje. A to co wiem — opowiem.

PKO — to wspaniała instytucja dla ludzi, których

Dalszy ciąg
na str. 4

WIESŁAW BEK

„Pod prąd” dążeń ludzkości

Dziesiąty dzień mija od chwili podpisania w Moskwie układu o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, a echa porozumienia nie schodzą z czołówek gazet światowych. Po uroczystym złożeniu podpisów przez trzy czołowe mocarstwa świata — układ poparły i inne kraje. Polska znalazła się wśród pierwszych 26 sygnatariuszy.

Przedstawiciele dyplomatycznych krajów zobowiązujących się do nieprowadzenia doświadczeń nukle-

arnych w atmosferze, kosmosie i pod wodą, składali przy tej okazji krótkie oświadczenia. Wybraliśmy z nich kilka określeń nowego układu, wykazujących jak bardzo był on przez ludzką oczekiwanym: I tak np.:

— India uważa układ za „kartę zdrowia i szczęścia ludzkości”.

— Węgry za „nowy środek służący pokojowi”.

— Meksyk — za „ważny krok ku zwycięstwu pokojowego współistnienia”.

— Iran zaś stwierdza, że

„olbrzymie wysiłki mężów stanu, którzy opracowali ten układ... po wsze czasy pozostaną w pamięci wdzięcznej ludzkości”.

Oczywiście, zacytowałem tylko maleńką część oficjalnych wypowiedzi, już te jednak wystarczą, by podkreślić rangę, jaką świat nadał moskiewskiemu porozumieniu. Nic w tym dziwnego, jeśli zważyć chociażby dwie okoliczności — fakt, że kładzie on kres dalszemu zwiększaniu się radioaktywności w atmosferze i że otwiera możli-

wość dalszych porozumień — do całkowitego i powszechnego rozbrojenia włącznie.

O znaczeniu układu pisałem jednak obszernie w poprzednim numerze. Dziś przyjrzyjmy się bliżej jego przeciwnikom. Jest ich wprawdzie niewiele, musi jednak zastanawiać, dlaczego idą „pod prąd” dążeń ludzkości? Zanim wyluszczymy ich „argumenty”, możemy bez obawy popełnienia błędu stwierdzić, że kierują się oni nie dobrem ludzkości, ale względami

egoistycznymi, choć niekiedy przykrywa je inna zasłona.

Najbardziej otwarcie swoje „nie” uzasadniła gaulistowska Francja.

Powtarzając dawno skompromitowaną teoryjkę o rzekomej groźbie ze Wschodu i wyrażając obawę, czy aby Stany Zjednoczone pewnego dnia nie pozostawią Europę bez „sily odstraszającej” — prezydent Francji w narodowej sile nuklearnej upatruje mocarstwowość swego kraju.

Złudna to nadzieja. Fran-

cja, choć myśl skonstruowania własnej broni nuklearnej pojawiła się przed prawie 13 laty, jest ciągle w fazie początkowej. Pomimo wysokich kosztów, które oblicza się na ok. 5 miliardów dolarów (tylę dotychczas wydatkowała Francja na badania atomowe) stan jej posiadania jest skrom-

Dokończenie
na str. 2

„Panienka z okienka”

Dziewięć kilometrów pod Łodzią, zwykła wiejska droga, mały zagajnik i napis: „Las Lublinek”. W oddali przejeżdża pociąg, borykając się z piachem sunie samochód, stadko białych gęsi przechodzi ścieżką. I — nagle, z tej normalnej, zwykłej wiejskiej codzienności — przenosimy się w inny świat.

Wystarczy zrobić krok dalej, żeby znaleźć się w starym Gdańsku z początku XVII wieku... To jeszcze nie jest pełny obraz — jeszcze stosami leżą kamienne opaski, gzymsy i balusy trady, które za parę dni stworzą tzw. wystrój architektoniczny. Jeszcze na całym terenie stoją rusztowania, a tylko niektóre ściany otworzyły się. Jeszcze nie rozłożono kostki na ulicy. Dopiero za kilkanaście dni rozpoznamy ulicę Długi Targ i Dwór Artusa, ratusz i studnię Neptuna, nabrzeże starego Gdańska, dopiero za kilkanaście dni na staw wpłynie flotylla łodzi i wspaniała żeglowna fregata wojenna. Rynek ożywia tłumy przekupni, które będą bity wode ze studni Neptuna, wspaniałe kute kraty przyozdobia balustrady domów. Z okna jednej z kamieniczek wyjrzy śliczna „zabawiana panienka”.

Rozpoczyna się zdjęcie do nowego polskiego filmu, barwnego i panoramicznego, realizowanego przez reż. Marię Kaniewską według znanej powieści Dectymy. Teraz jeszcze można rozpoznać, że „dom” — to tylko szkielety drewniane, dotknięte słońcem, że piękne kute kraty są fechtutką — bo powstały z winiduru, że kostka uliczna została wyloczona w folii, że „autentyczne” gzymsy, profile, rzeźby, barokowe portale słowo rżono w pracowni WFF.

Reżyser Maria Kaniewska, operator Adolf Forbert, scenograf Jerzy Skrzepiński i kierownik produkcji Stanisław Daniel mają przy tym niemało kłopotu. Już po zatwierdzeniu projektów budowy trzeba było z niektórych elementów zrezygnować — teraz jest problem: przecież przy tym ujęciu będzie widać górę Zielonej Bramy! A Zielona Brama nie będzie miała dachu — ze względów oszczędności wych dachu „nie wybudowano”. — Może drzewo po stawić? — radzi ktoś. — Duże drzewo, liście zasłonią.

No tak, ale stąd wychodzi strażnik, tu się spotykają, tu muszą się pocałować (reżyser Kaniewska dokładnie nakreśliła sytuację, aczkolwiek w tym miejscu jest na razie tylko trawa i piasek). Więc może ganek?

— Dobrze, dobudujcie jeden ganek.

— A w tym miejscu potrzebny jest jeszcze fragment zabudowań.

— Spichlerz! Spichlerz — woła operator, Spichlerze są najtańsze,

— Nie może być spichlerza — protestuje scenograf. Przecież to jest kamieniczka patrycjusza.

— No to co? Nie chodzi o „prawdę historyczną”? ...Ale to tylko żart. W rzeczywistości „bardzo chodzi” o prawdę historyczną. Ten Gdańsk, jaki znamy dzisiaj, cała zrekonstruowana dzielnica starych kamieniczek bardzo się różni od tego, jak dawniej wyglądało miasto. Wiele miesięcy trwały prace przygotowawcze, skrupulatne zbieranie dokumentacji. Okazało się, że nabrzeże było drewniane a Dwór Artusa nie tak zdobiony, że inaczej wyglądał wystrój architektoniczny, że obok Dworu Artusa stały stragany przekupniów, że Studnia Neptuna służyła, jako miejsce do pojenia koni. Dziś — są to szacowne zabytki, ogrodzone i konserwowane z pietyzmem, pokazywane turystom. W pierwszej połowie XVII wieku miały praktyczne, użytkowe znaczenie.

Otóż film „Panienka z okienka” ma ambicje pokazania obyczajowości epoki na tle autentycznego, żyjącego miasta. Ten realistyczny charakter trzeba zachować w dekoracjach. A więc: celem uzyskania właściwej faktury kamienia, gips służy do odlewania gzymsów i portali miesza się z trocinami. Karet siedemnastowieczna została wprawdzie wykonana w pracowni WFF — ale dla uzyskania efektu stałego użytkowania, do farby dodaje się dużo kleju. Dzięki temu „nowa” kareta stała się „stara” i „zruszona”. Tkanina w oknach karety też jest nowa — wobec tego leży obecnie na słońcu, ażeby wypłóć wiało. Do budowy nabrzeża użyto... starych podkładów kolejowych. Dzięki temu, po pierwsze osiągnięto świetny efekt „starości”, po drugie — oszczędzono wiele pieniędzy. Od sąsiadującego z terenem wieśniaka wypożyczono stodołę. Po dobudowaniu fragmentów powstała w ten sposób stylowa karczma, z dachem pokrytym autentycznym mchem.

Scenografia jest w tym filmie jednym z najistotniejszych elementów — nie tylko współgra z treścią „Panienki”, ale będzie miała duże walory poznawcze. Będzie to niejako „poglądowy kurs” nauki o okresie, nazwanym w historii architektury „gdańskim barokiem”.

Kilka cyfr powie nam o rozmiarze wysiłku scenografów i pracowników WFF: Teren, na którym rozgrywa się akcja filmu w rzeczywistości miałby 13 tysięcy m kw. Dekorację buduje się w odpowiednio mniejszej skali i o tych 13 tys. m kw. „zmieszczono” na 1.300 m kw. Do dziś przygotowano już ponad 3,5 tysiąca różnych rysunków — a jest to dopiero połowa. Dla potrzeb filmu zrobiono ok. 15 małych makietek poglądowych. Wkrótce powstanie ogromna makietka całego siedemnastowiecznego Gdańska — z fosami i murami obronnymi, z dokładnym rozmieszczeniem ulic i placów, z kominami,



Los artystów powtarza się...

Rok temu cały świat porażony został wieścią o tragicznej śmierci artystki, która jak pisano później „od wszystkich oczekiwala szczęścia, we wszystkich wzbudzała pragnienie miłości”. Po roku czasu jakiego wspomnienie zachowała M. M. — światowa gwiazda nr 1 w pamięci tych, którzy z nią współpracowali, entuzjastomali się jej osobowości, talentem, którzy rozpaczali gdy jej brakło.

Osiem wielkich indywidualności ekranu, jeden reżyser i jeden akademik opowiadają na łamach lipcowego „Cinema Monde” o życiu tej cudownej kobiety, aktorki niezrównanej, która poznała gorzki smak nędzy i oszalałymi blask chwali.

Ives Montand: — Znałem ją osobiście. Od początku wiedziałem, że rola jaką wyznaczono mi w „Milionerze”, gdzie grałem razem z Marilyn — jest niedobra. Mogę to powiedzieć obecnie tym bardziej, że ta aktorzy jak Gary Grant i Gregory Peck, którzy byli wolni wówczas odmówili udziału w filmie. Rola ta nie przyniosła mi wielkiego sukcesu. Gdybym miał jednak zagrać ją jeszcze raz zrobiłbym to po raz

drugi dla samej przyjemności grania z kobietą taką jak Marilyn”.

Annie Girardot: Porównywano ją z innymi gwiazdami filmowymi jej pokolenia: Liz Taylor, Brigitte Bardot, Sophia Loren. Nie podobna była do żadnej z nich.

Jacques Charrier: Marilyn była kobietą, którą pragnęło się poznać za wszelką cenę. Za numer jej telefonu można było dać fortunę. Była absolutnym uosobieniem kobiecości”.

Vadim: Była bezbronna wobec intryg i ludzkiego okrucieństwa.

Curd Jurgens: Jej błąd fatalny to pozostanie w Hollywood.

I jeszcze zdanie Fernandela: Przed Marilyn — chapeaux bas! I jeszcze opinia Marcel Acharda — Cóż za nieporównana artystka!

Po roku wielkie dzienniki powtarzają: Marilyn — to było życie. To było czule ciało, ujmujący, świetlisty uśmiech, pragnienie podobać się, pragnienie miłości, szlachetność, delikatność.

Po roku czasu świat odkrywa to czego nie doceniał wówczas, gdy aktorka żyła. Los artystów powtarza się nieustannie...

które będą dymity, z narbrzeżem i wpływającą flotyllą. Ta makietka zajmie 300 m kw.

100 świec zostanie spalonych podczas kręcenia poszczególnych ujęć, 1000 sztuk różnych szykują dla filmu huty. Pracownicy muszą wykonać z papier-mache 100 ryb, kilka... świń (z mas plastycznych), zabytkowe fajki, sakiewki, pantofle, kwiaty, 60 krat (tylko na same zdjęcia plenerowe), owoce południowe, worki na jarzyny, chorągwie atlasowe, porporce. Do zdjęć plenerowych potrzeba w sumie ok. 2000 rekwizytów. Wnętrza będą wymagały zabytkowych mebli — są

mych krzesel 40, foteli 20, zydli 30, 20 stołów, 10 szaf gdańskich. Wszystkie meble są wspaniałe rzeźbione, inkrustowane, zdobione. A przecież kwitło w tym czasie rzemiosło, przecież gdańscy stolarze, kamieniarze, metaloplastycy znani byli na całym świecie. Wykonanie jednej szafy zajmowało rzemieślnikowi 3-5 lat. Jasne jest więc, że „Panienka z okienka” musi skorzystać z pomocy muzeów, że tylko one mogą dostarczyć umeblowania do zdjęć atellerowych.

Oddzielny rozdział to stroje, projektowane przez J. M. Szancera. Inna dziedzina: rzeźba, Specjalny

rzeźbiarz tworzy w tej chwili w pracowni WFF figurę Neptuna. A statek — budowany na dwóch pontonach, a olinowanie i maszty całej flotylli, a bronie wszelkiego typu, a tysiące szczegółów związanych z obyczajowością, setki rekwizytów dziś już nieznanych — ja! taka np. wielka patelnia, służąca do... ogrzewania łózek.

A kłopoty z materiałem — bo używana u nas masa winidurowa odkształca się kompletnie przy temperaturze plus 18 stopni i trzeba było z niej zrezygnować na rzecz pracochłonnego i niewygodnego gipsu. Albo: farba ma zły kolor,

DWA „kryminały”

Zanim obejrzymy, dzięki zagranicznemu zakupom CWF, głośny i opisywany także w polskiej prasie film mistrza „kryminału” — „Piaki”, Alfreda Hitchcocka musimy na razie zadowolić się dwoma filmami nieco starszej daty produkcji. Zestawienie dwóch filmów Hitchcocka: „NIEZNANOMI Z POCIĄGU” i „ZAWROT GŁOWY” nasuwa wnioski, na pewno nie odkrywcy, że również wielcy mistrzowie też mają swoje potknięcia, swoje „puszczone” filmy. Odnosi się to w szczególności do pierwszego z wymienionych filmów, w którym Hitchcock relacjonuje historię o psychopacie mordercą „uciążliwą” żonę przypadkowo poznanej w pociągu sławnego mistrza tenisa. „Uwolniony” mąż nie może jednak nacieszyć się dowoli odzyskaną wolnością, ponieważ „uczynny” morderca żąda rewanżu w postaci zamordowania swego bogatego papy. Historijka makabrycznie wesoła, niesety, w relacji filmowej okazała się niewystarczająca do stworzenia emocjonującego filmu sensacyjnego. W pewnych sekwencjach „NIEZNANOMI Z POCIĄGU” tempo akcji, jak na film Hitchcocka jest delikatnie pisać, ospale. Toteż nie odstraszać zdecydowanie przyszłych widzów i wielbicieli filmu sensacyjnego, pragniemy polecić raczej obejrzenie drugiego z wymienionych filmów Hitchcocka.

„ZAWROT GŁOWY” jest barwnym, prawie trzygodzinnym widowiskiem „ocięającym” od barw Technicoloru z Kim Novak i Jamesem Stewartem w rolach głównych. Film wywołuje dwójakie wrażenie — raz pełnego napięcia filmu kryminalno-sensacyjnego, a drugi raz, dość zmagmatowanego nadmiernym psychologizowaniem — melodramatu, który w części okazuje się zwyrodniałym i mistyfikacją potrzebną do uzyskania alibi przez mordercę. Alfred Hitchcock — znakomicie dawkuje napięcie — z jednej niepełnie rozwiązanej sytuacji przenosi uwagę widza na następną jeszcze bardziej złożoną, by jednym epizodem wyjaśnić obie. Przystosowując metraż swojego filmu do kilkugodzinnych seansów, czyba zbyt długo rozgrywa niektóre epizody, jak chociażby sceny śledzenia grane przez zawsze sympatycznego Jamesa Stewarta Rola Stewarta jest motorem całego filmu, w przeciwnieństwie do Kim Novak za bardzo posagowej i nijakiej, dalekiej od kreacji aktorskiej tej miary jaka stworzyła chociażby w „Pikniku” wyświeblanym u nas przed kilku laty. Na uwagę w „Zawrocie głowy” zasługuje znakomita plastyczność, a przede wszystkim kapitalna pod względem barwnym czołówka filmu Hitchcocka. Jest to bez mała arcydzieło projektowania i wykonania czołówek, do których Amerykanie, jak do wszystkich opankowań przywiązują dużą wagę i wielokrotnie dzięki temu potrafia sprzedawać nie najlepszej jakości towar, jak chociażby pierwszy z omówionych „kryminałów”.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

I tak dalej i tak dalej.

Zanim ulicę Długi Targ wypełnią mieszkańcy siedemnastowiecznego Gdańska, zanim przekupnie otworzą stragany, zanim pod płynię fregata wojenna a panienka wyjrzy z okienka swojej kamienicy — praca setek ludzi musi w tej wsi, dziewięć kilometrów pod Łodzią, wyczarować prawdziwy i barwny obraz starożytności.

odgłosy

str. 3

REKLAMA

i

ANTYREKLAMA

Dalszy ciąg ze str. 1

„oszczędności“ przekraczają sto lub dwieście tysięcy. Taki „oszczędniś“ zakłada sobie dziesięć albo dwadzieścia książeczek samochodowych, on ma czas, on ma pieniądze, on ma szansę, on wygrywa. On jadąc na wczasy ma dziesięć tysięcy złotych gotówką w kieszeni. Taki „oszczędniś“ chwali sobie PKO, bo do tej instytucji rzadko zagląda. Ale przeciętny obywatel, taki co to zdoła uciąć dziesięć czy pięć tysięcy złotych, taki co to raz po raz musi iść na pocztę i pobrać dwieście czy trzys-

go grosza na otwarcie specjalnego okienka, abyś mógł włożyć czy podjąć swój wkład. Po co zresztą szukać daleko w Polsce? Proszę się przejść po łódzkich pocztach między 1 a 10 każdego miesiąca i spróbować podjąć oszczędności. Toż to gehenna.

Onegdaj na jednej z łódzkich poczt przeżyłem zabawną scenkę. Oto czekał na wypłatę w piętnastuosobowej kolejce. Za okienkiem nastąpiła zmiana urzędniczek. Ta nowa oświadczyła nam, że nie ma pieniędzy na wypłatę PKO, że najpierw niech ktoś z nas wpłaci, to potem ona będzie wypłacać. Tak się złożyło, że kolejka była tylko po wypłaty i długo wypadło nam czekać, aż ktoś się zjawił i dokonał wpłaty. Trudno się potem dziwić, że obywatel, który nie ma stu tysięcy złotych do dyspozycji, lecz tylko te pięć czy sześć tysięcy oszczędności, długo waha się czy opłaca mu się dokonać wpłaty, skoro i wpłata i wypłata zajmują przeciętnie dwie godziny. Reklama — tak! PKO powinna szeroko upowszechniać różne formy oszczędzania. Ale niechże praktyka pracy tej instytucji idzie w parze z reklamą. W przeciwnym razie ludzie zechcą trzymać pieniądze w pończoszce, zamiast zanieść je na książeczkę.

A jak wygląda współpraca z PZU? Dlaczego mimo tak ogromnej i szumnej reklamy, kierowcy-właścicie-



le pojazdów, poza obowiązkowym ubezpieczeniem, z dużym oporem ubezpieczają swoje samochody na tak zwane „Autocasco“? Czy w grę wchodzi rzeczwiście tylko duże opłaty za ubezpieczenie?

Mój przyjaciel z Łodzi miał w lipcu wypadek samochodowy, na śliskiej drodze kilka kilometrów od Gdyni, wjechał na plot przydrożny i uszkodził zarówno plot jak i swój samochód. Zgodnie z instrukcją PZU, kierowca, którego pojazd uległ wypadkowi, powinien szkodę zgłosić w najbliższej placówce PZU. Co zrobił mój kolega? Ponieważ teren, gdzie zdarzył się wypadek, należy do powiatu Wejherowo, pozostawił rozbite auto na posterunku MO i pojechał tak-sówką do odległego o trzydzieści kilometrów Wejherowa. Tam powiedziano mu, że niestety, PZU w Wejherowie nie posiada fachowców do dokonania oględzin, niechże więc szkodę zgłosi w PZU w Gdyni. Pojechał więc do Gdyni. Tam powiedzieli mu, że nie ma co oglądać pojazdu, bo jest gorąco, niechże wstawi

JAN MARIA GISGES

Sabot

Stukot nadbiegającego drewna przyniósł ze sobą echo, co szyję mi omotało. Furkotała jeszcze wojna na dachu i czołg zaglądał przez rozstrzelaną spódnicę, aby dojrzeć nagość uda; i teraz trwa to grocft vit Arnhem zasklepione w granuli krwi.



WAMIGDAR

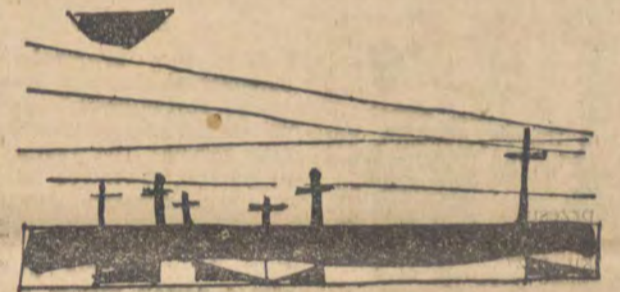
Grodzisko

W twoich powiekach uniesionych wysoko trzeba umiejętnie odnaleźć cień, co sprzyja myślom i obrazom. Oto z upału rodzi się szum i głos, z zamknięcia lasem zrodził się upał; w wiadrach tutaj wnoszono życie, na koromysłach siedziały wróble, barki je uniosły z plagi upału. Nie wszystko zmarło w suchości ust: kopaliny, włosy, piszczele i wiadra. Przez niepokój formy i pszczoł szukających rodzą się kielichy i zapach. Chronię się w cień twoich powiek i widzę, że nie nie zastyga, nawet grodzisko.



Commentaryk

Polóż dłoń na marmurze i zbadaj jego tężno. Tyle tętn ludzkich uderzało ci w palce, że zawsze wiesz jaka choroba toczy ciało. Wyczuwając pod opuszkami starczy wiek trzepoczący się w czarnej żyłce, twoja kobiecość ociepla zastygłe kiedyś życie i oto z marmuru poczyna wyrastać zielona gałązeczka.



Wiersze z tomu „Rzeczy najmniejsze“, który już wkrótce ukaże się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

ta złotych, a za tydzień wędruje na pocztę, żeby znowu dokończyć do swych oszczędności dwieście czy pięćset złotych — taki obywatel, a o jego oszczędności przede wszystkim chodzi w idei oszczędzania) — klnie PKO, złości się, i ma ku temu powody.

Jasio pojechał na wczasy mając trzy tysiące gotówką w kieszeni. Kazio pojechał na wczasy mając tę samą ilość pieniędzy na książeczkę PKO. Jasio spędził czas na plaży, na słoneczku, a Kazio po kilka godzin tracił w urzędzie pocztowym, w duchocie i tłoku czekając po kilka godzin aż mu wypłacą te dwieście czy trzysta złotych z książeczki. Przejechałem w tym roku 4000 kilometrów po najróżniejszych ośrodkach wczasowych i wypoczynkowych, i przysięgam, nigdzie nie spotkałem poczty, na której byłaby kolejka mniejsza niż osiemnaście osób, co w praktyce oznacza dwugodzinne czekanie na wypłatę. Bo nigdzie nie dostrzegłem okienka, w którym tylko dokonywano wypłat PKO. Jedną i tą samą urzędniczką załatwiała przyjmowanie opłat radiofonicznych, telewizyjnych, przekazów, listów poleconych, telegramów itp. Nie, drogi turysto! Jeśli chcesz mieć spokojne wczasy, nie wierz reklamie PKO. Bierz z sobą gotówkę, a nie książeczkę oszczędnościową. Bo PKO nie szkoda pieniędzy na reklamę, ale szkoda każde-

pojazd do jakiegoś warsztatu remontowego, to potem ktoś z inspektorów PZU do warsztatu dojedzie i spisze protokół. Po długich staraniach kolega mój oddał wóz do spółdzielni Auto-Remont we Wrzeszczu. Wtedy ci z Gdyni powiedzieli, że to już należy do PZU w Gdańsku, niechże Gdańsk tę sprawę załatwia. Kolega pojechał do Gdańska i wreszcie przyjechali dwaj inspektorzy PZU, obejrżeli pojazd „pi-razy-oko“, w ogóle nie zbadali silnika uszkodzonego pojazdu, spisali byle jaki protokół i zezwolili na remont wozu. Remont wyniósł 7000 złotych, kolega zapożyczył się, zapłacił i z rachunkiem poszedł do PZU w Gdańsku. Tam powiedzieli, że ponieważ wóz jest łódzki, ubezpieczony w Łodzi, to niech płaci za szkodę PZU w Łodzi, zresztą oni już papierki odesłali do PZU w Łodzi. Świetnie, wspaniale. Mój kolega wrócił do Łodzi. Tu okazało się, że papierów tych nie ma. Nie nadesłano już. Co robić? Ano, nic. Czekać, albo jechać do Gdańska. Na czyj koszt jechać? Oczywiście, nie na PZU tylko na koszt własny. Bagatelka. Aha, jeszcze drobniaczek. To nie PZU, ale mój kolega musiał jeździć do posterunku milicji, aby otrzymać odnośne protokoły dotyczące wypadku. W międzyczasie już po powrocie do Łodzi okazało się, że jednak to i owo zepsuło się również w silniku? Kto za to zapłaci? PZU? Oczywiście, nie.

Mój kolega obliczył, rachunek zresztą jest prosty, że gdyby nie ubezpieczał pojazdu, ale składki ubez-

pieczeniowe odkładał do szuflady, to by jeszcze na tym interesie zarobił kupę forsy, a tak dokończył sporą sumę. Kiedy opowiadałem tę historię łódzkiemu tak-sówkarzowi, ten tylko się roześmiał: „Panie, ja kiedyś byłem taki głupi, żeby ubezpieczać pojazd na „auto-casco“. Teraz nie ma frajerów. Od pięciu lat nie ubezpieczam wozu. Wie pan ile już na tym interesie zarobiłem? Piętnaście

REKLAMA



tysięcy złotych, odliczając małą szkodę, za którą sam zapłaciłem“.

Aby bawić się z PZU trzeba mieć dużo cierpliwości i dużo pieniędzy, choćby z tego tytułu, że PZU najpierw każe płacić za remont właścicielowi, a potem dopiero ewentualnie zwraca pieniądze i to potrącając sobie ogromny procent. Nie każdy się na to wszystko godzi, stąd PZU musi się tak reklamować. A wystarczyłoby zmienić nieco styl pracy. Albo nasz kochany łódzki MOTOZBYT, Jakże to

piękne ma neony, aż serece rośnie! Aż duma ogarnia, gdy się spogląda na te jego salony przy ul. Piotrkowskiej. Wróciwszy z urlopu zobaczyłem obok swego domu nowy ich salon, zapewne wybudowany ogromnym kosztem? I po co? I na co? Oświadczam z całkowitą odpowiedzialnością, że w Łodzi o wiele bardziej potrzebny jest jeszcze jeden sklep owocowo-warzywny niż jeszcze jeden luksusowy salon „Motozbytu“. Albowiem to, co „Motozbyt“ ma do zaoferowania swoim klientom zmieściłoby się w jednym niewielkim sklepiku z napisem „Części zamiennych nie ma“. Po to, aby usłyszeć od ekspedienta, że „nie ma“, naprawdę nie trzeba aż salońców błyszczących od szkła.

„Motozbyt“ musi mieć coraz nowe sklepy, gdyż jak powiadają jego dyrektorzy, do każdego typu samochodu przeciętnie trzeba aż dwadzieścia tysięcy części zamiennych, a to przecież wymaga zaplecza sklepowego. Każdy kierowca wie dobrze, że w samochodzie wymaga częstej wymiany tylko pewna określona i dobrze znana wszystkim ilość części. A tych właśnie brakuje.

Oto dialog ze sklepu Motozbytu przy ul. Północnej, najgorszego zresztą sklepu, gdzie podobno pracuje aż kilku ekspedientów, ale zawsze zobaczycie tylko jednego, bo inni są na obiedzie albo na przechadzce. Ten jeden zaś ma już taką wprawę w robocie, że od razu, nawet nie usłyszawszy pytania, odpowiada: „Nie ma“.

— „Czy są linki do gazu?“ „Nie ma“. Czy są linki do sprzęgła?“ „Nie ma“. „Czy są listewki?“ „Nie ma“. „Czy można kupić przerywacz?“ „Nie ma“. „Panie zrób pan coś, żebym miał tę linkę. Stoję tutaj, na Piotrkowskiej, linka mi się zerwała“. „Ano, zobacz, może się jeszcze coś znajdzie“.

I leniwym krokiem idzie do magazynu. Po jakimś czasie, dość długim, wraca z linką w rękę.

„Jeszcze jedna się tam gdzie zaplątała. Ale więcej już nie ma“ — dodaje groźnie w stronę tłoczących się klientów.

Węc się pytam: czy na to, aby wysłuchać podobnych dialogów, potrzeba aż kilku sklepów, upiśkoczonych szkłem i neonami? Jeśli Motozbyt tak mało ma do zaoferowania swym klientom, to może lepiej zaproponować mu kilka drewnianych budek na periferiach, a te ich sklepy przeznaczyć na cele znacznie potrzebniejsze, na warzywa lub restauracje? Każdy sklep przy ul. Piotrkowskiej winien być wykorzystany w pełni i właściwie. Okres błyszczących fasad, za którymi nie się nie kryło — już się dawno skończył. Chcemy żyć i oszczędnie — ale niech PKO ułatwi oszczędzanie. Chcemy żyć bezpiecznie — ale niech PZU zmieni styl pracy. Chcemy żyć bez „lipy“, która uprawia Motozbyt. Reklama? Tak, oczywiście. Ale niechże za tą szumną reklamą nie kryje się zwykła bлага.

ZBIGNIEW NIENACKI

Literatura zaangażowana

Po powrocie z seminarium międzynarodowego w Lahti (Finlandia) znany pisarz francuski Claude Simon udzielił gazecie paryskiej „L'Express” wywiadu, który wywołał gwałtowny sprzeciw znanego krytyka Pierre Daix'a na łamach tygodnika literackiego „Les Lettres Françaises”.

Zanim jednak przejdę do omówienia istoty sporu, muszę przypomnieć, że Claude Simon zalicza się do pisarzy reprezentujących tak zwaną Nową Powieść względnie Antypowieściowców. W skład tej grupy wchodzi między innymi Natalia Sarraute, autorka przetłumaczonej u nas powieści „Portrait inconnu” (Portret nieznanego), Robbe-Grillet, autor powieści „Gumy”, również przetłumaczonej na język polski, oraz Michel Butor, znany polskim czytelnikom z powieści „Odmiany czasu” i „Przemiany”.

Claude Simon, pozostający pod dużym wpływem Faulknera, uważany jest za najzdolniejszego pisarza spośród antypowieściowców. Żadna z jego książek nie została jeszcze przetłumaczona na polski. Przed paru laty miesięcznik „Twórczość” drukował fragment powieści tego pisarza „Droga przez Flandrię”, uważanej za jego najwybitniejszą osiągnięcie pisarskie. Na wspomnianym seminarium międzynarodowym, w odpowiedzi na zarzut pisarzy radzieckich, krytykujących „niemoralność literatury zachodniej” i na wezwanie profesora radzieckiego Jermilowa do sformułowania „konceptji życia takiego, jakim (zdaniem Claude Simona) być powinno”, autor „Drogi przez Flandrię” odpowiedział: „Nie wiem, jakie znaczenie ma świat, nie wiem, dokąd zmierza, i nie wiem, jaki jest cel człowieka”.

Można by powiedzieć, że jest to wyznawanie wiary agnostyka, a zarazem skoncentrowana filozofia rozpacz i bezradności. O literaturze zaangażowanej natomiast wyraził się Claude Simon jako o literaturze „dobrych chęci”.

Wywołało to, jak wspominałem, sprzeciw świętego krytyka Pierre Daix'a, który przede wszystkim, odebrał Claude Simonowi do Wielkiej Encyklopedii Larousse'a, gdzie można przeczytać definicję literatury zaangażowanej jako piarstwa biorącego udział w walkach politycznych i społecznych po stronie określonej ideologii. Definicja ta jednak wydaje się wąska i par excellence polityczna.

Nie uważajmy jednak różnic między tak zwaną „literaturą rozpacz” a „literaturą nadziei”, polegającą na tym, że pisarze kapitalistycznego Zachodu widzą (jak to ostro sformułował Jerzy Putrament na ostatnim Plenum) „tragedię indywidualnego ludzkiego istnienia, bezsens śmierci, nasuwający się nieuchronnie, rozpacz człowieka, obserwowanego, jak z niego wy-

7.

W czasie pierwszych dni niektóre dzieci plakały za domem, za matką. W czasie odjazdu płakała większość. Za kolonią i za kolegami. Ta prawda jednak dla wszystkich kolonii w różnych latach świadczy mimo symptomów egoizmu o starej greckiej prawdzie, że człowiek jest zwierzęciem społecznym i do zbiorowego życia ciągnie go od lat najmłodszych. Jeśli mu się tylko tego zbiorowego życia za lat najmłodszych nie obrzodzi wyrosnąć z niego rożnym członkiem społeczności.

(przepisuję z jadłospisu) **Śniadanie:** zacierki na mleku, chleb z twarogiem, kawa, herbata. **Obiad:** zupa jarzynowa, ziemniaki, goląbki w sosie pomidorowym, kompot. **Podwieczorek:** kompot, słodka bułka, czereśnie. **Kolacja:** fasolka szparagowa, chleb z wędlina, kawa, herbata.

Powyższe posiłki urozmaicone, kaloryczne, spożywano w normalny dzień, gdzie ani wizytacji żadnej nie było, ani święta państwowego. W dni uroczyste dzieci dostawały czekoladę. Po całej tabliczce.

Wbrew pozorom kolonia nie była wcale bogata. Dysponowała budżetem niewiele przekraczającym sto tysięcy złotych, za które trzeba było wyżyć owe sto pięćdziesiąt osób, przeważnie tam i z powrotem, poobwoził po Śląsku (Turawa, Góra św. Anny, Chorzów). Bo i rzecz nie w pieniądzu. W roku 1951 byłem na kolonijach pewnej instytucji w Racynie koło Jeleniej Góry, najbogatszych chyba wówczas kolonijach w Polsce, gdzie raz biliśmy się cukierkami, maźkami czekoladą i chorowaliśmy a innym razem głodni szliśmy spać. I nawet nikt nie krądl, po prostu nie umiano gospodarzyć.

Na kolonijach, gdzie w lipcu pełniłem funkcję wychowawcy, kierownikiem był doświadczony pedagog Helena Kupczakiewicz ze szkoły nr 3 w Łowiczu. Kierowniczka miała za sobą już piętnastoletni staż kolonijny, nic też dziwnego, że potrafiła niebogatą nawet kolonię poprowadzić jak to się mówi — na duży medal.

5.

W zasadzie wszystkie napisane z myślą o dzieciach. Na koniec jednak o samych dzieciach. Są różne — to oczywiste — ciapowate i bystre, grzeczne i niegrzeczne, czyste i brudne, ale prawie wszystkie, z którymi się w lipcu zetknąłem miały w większym lub mniejszym stopniu przykry cechy — egoizm. Nieważne, że kolega nie ma krzesła przy stole — ważne, że ja mam. Nieważne, że koledze zginał koc — ważne, że ja mam swój koc. Nieważne, że kolega nie zjadł jeszcze obiadu — ważne że ja zjadłem dwa. Z tym egoizmem, zupełnie dla mnie nieoczekiwanym, najtrudniej przychodziło mi walczyć. Nie ludziłem się zresztą, że w ciągu miesiąca wykorzenie w nich całkowicie wadę hodowaną przez lata domowego wychowania. Ale po to przecież między innymi sa kolonie, aby nauczyć dzieci kolektywnego współżycia, aby niejako przygotować je do samodzielnego życia w dorosłym społeczeństwie. I kolonie rolę tę spełniały. Po powierzchniowej tylko obserwacji mojej grupy mogłem z całą pewnością powiedzieć, kto był na kolonijach pierwszy raz, kto płył. Debiutanci aż doprawdy śmieszyli swoim egoizmem, u weteranów spotykało się te cechy niezwykle rzadko. Świadczy to, że kolonie wychowują.

6.

Na koniec rzecz z gatunku poważniejszych, dotyczących „szlachetnego” zdrowia. „Koloniści”, jak wiadomo, legitymują się kartami zdrowia poświadczonymi przez lekarza przychodni lub szkoły. Karty te to nie-raz fikcja.

Obrazek pierwszy: higienistka sprawdza czystość nóg. Jedno dziecko historykuje, nie chce pokazać, płacze. Robi się awantura. Nikt nie wie o co dziecku chodzi. Okazuje się w końcu, że chłopiec ma po zezień palców u nóg. W karcie zdrowia, oczywiście, wspomniany na ten temat nie ma. Nie oszczędzono dziecku niepotrzebnego wstrząsu.

wano by ze znikomosci — powiedzmy — poglądów pedagogicznych Jana Amosa Komenskigo lecz z praktycznych umiejętności prowadzenia zajęć. Komisja (składająca się koniecznie ze starych praktyków kolonijnych) po prostu oceniała by kandydata — nadaje się, czy nie nadaje. Czy ten system zlikwidowałby abso-

JERZY WILMAŃSKI

JAK TO NA KOLONIACH BYWA

(i wcześniej). Oczywiście nie wszyscy. Jest rzeczą oczywistą, że skoro istnieje trudności w doborze kadry, wartość kadry jest różniata. Bywały wychowawcy, nie bawiające się z dziećmi w kółko graniaste wówczas, gdy wizytatorzy patrzyli z okien, bywały wychowawcy mówiące z grymasem obrzydzenia o powierzonych im dzieciach, że brudne i nielegancko mówią. Zamiast umyć (chodziło o dzieci najmłodszego), zamiast nauczyć mówić poprawnie. Na szczęście nie byli to nauczycielki. Dzieci są dobrymi obserwatorami, dzieci widzą nieraz więcej, niż się dorosłym wydaje. I na pewno nieobojętym dla sprawy wychowania jest stosunek pogardliwy, brak ciepła, zwłaszcza w odniesieniu do dzieci, którym tego ciepła najbardziej brak — dzieci z Domu Dziecka.

Ale były także wychowawcy śpiewające dzieciom do snu kołysanki, myjące młodszych, opiekujące się tą swoją dwudziestką jak własnym dzieckiem i kochane przez ową całą bez wyjątku dwudziestkę jak rodzona matka.

Jak zaradzić, aby na kolonii nie spotykały się wychowawcy — silaczki i wychowawczyń — baronówny? Jaką selekcję przeprowadzić, aby przez ów miesiąc kierowali młodzieżą ludzie bądź z racji zawodu bądź z racji zamiłowania do tego rzucywiście upoważnieni? Propozycja moja jest prosta i niedroga. Zamiast fikcyjnych kursów można pociągnąć w odpowiednim czasie komisje wojewódzkie czy powiatowe, które poddałyby kandydatów na wychowawców odpowiedniemu egzaminowi. Oczywiście nie egzaminu-

lutnie nieporozumienia, o których wyżej? Na pewno nie, ale zmniejszyłby je.

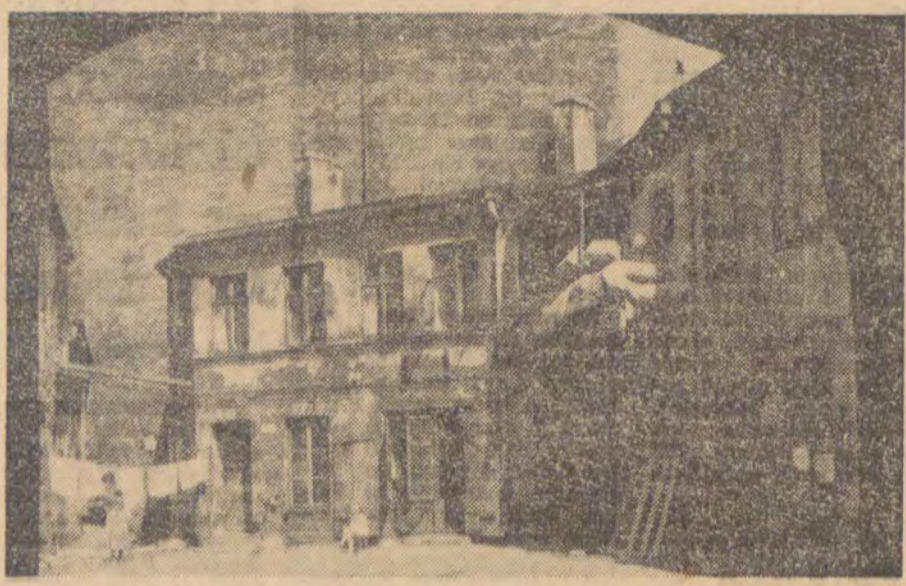
3.

Nie jest na pewno dobrze, jeśli uczestnictwo na kolonii zalażwia się nieraz metodą jaką na polskiej wsi określamy mianem „bez znajomości”. Na wielu kolonijach w Polsce królują dzieci na „etatach” książąt rezydentów, traktujących wprost i wszystkich jak przysłówiowy nos dla tabakieri z racji stanowiska taty czy wuja. Piszę o tym na zasadzie dygresji — nie są to sprawy, które zalażwiać można administracyjnie. Ale nie jest obojętne dla sprawy wychowania przekonanie, z jakim setka dzieci pojedzie do domów: „oto jednemu z nas wszystko było wolno, bo jego ojciec zajmuje takie czy inne stanowisko”. Nie jest obojętne także przekonanie ani dla sprawy wychowania, ani dla ojca często przeciw mądrego i sprawiedliwego człowieka, któremu niezasłużoną opinię wypracował nie najlepiej wychowany syn czy córka.

„Książęta-rezydenci” zdarzają się na kolonijach i jest to instytucja stara jak instytucja kolonii. Był w Grotnikach w 1946 roku, był w roku 1963. Nie ma na to widać rady — niewrzużony jest wśród Polaków monarchiczny kult następców tronu.

4.

znów napłynęło skojarzenie unrowskiej owsianki. Nie, żeby była taka zła, ale że podawano ją bezustannie. Obecnie menu przeciętnej kolonii wygląda tak:



Z cyklu: stara Łódź — podwórko przy Starym Rynku, obecnym Placu Wolności. Fot.: E. Kudał

Pisząc o kolonijach letnich dla dzieci i młodzieży nie sposób oprzeć się skojarzeniom. Pierwsze skojarzenie to stara informacja prasowa sprzed pięćdziesięciu lat mówiąca o wysłaniu przez Magistrat Łódzi miasta na kolonie do wsi Kały dwustu łódzkich dzieci. Drugie skojarzenie to pofabrykanckie wille w Grotnikach, sienniki na posadzkach i owsiankowe menu na moich pierwszych kolonijach w roku 1946.

Dziś nie ma już wsi Kały, na jej terenach buduje się ogromna „Elta”, dziś sto razy po dwieście łódzkich dzieci wyjeżdża do Krynic, Jurat i Międzyzdrojów a prasa nie czyni z tego powodu wielkiego halo. Dziś w Grotnikach znajdują się piękne, świetnie wyposażone ośrodki wypoczynkowe, nikt nie śpi na posadzkach i nie narzeka na stęchlą owsiankę z unrowskich darów.

Ale kiedy piszę o moich doświadczeniach wychowawcy kolonijnego z roku 1963 nie potrafię odrzucić notatki prasowej sprzed pół wieku, i wspomnień sprzed lat siedemnastu.

2.

Jest publiczną tajemnicą, że instytucje organizujące kolonie letnie mają zazwyczaj kłopoty z doboraniem kadry pedagogicznej. W zasadzie jednak propozycje układają się w ten sposób, że dwie trzecie kadry to nauczyciele. Dobrze to i źle zarazem. Nauczyciel w szkole „ma sankeje” — stopnie, ewentualne wezwania rodziców... Jego podstawowym zadaniem jest nauczyć i to zadanie bez względu na fakt czy jest pedagogiem dobrym czy mniej dobrym przede wszystkim realizuje. Natomiast na kolonijach chwytły szkolne często zawodzą. Dzieci na kolonijach trudno traktować tak jak w szkole. Przecież trzeba im pozwolić na „występ” i szaleństwo, trzeba im dać swobodę w dużym większym stopniu niż jest to możliwe w szkole. Wychowawca winien, oczywiście, nad ową swobodą czuwać, ale jak najmniej ją kępować. Na kolonijach zatem potrzebny jest wychowawca-pedagog nawet niekoniecznie z wykształcenia, ale raczej z zamiłowania. Iu mamy takich rozmilowanych w pracy z młodzieżą ludzi różnych zawodów? Setki. Wystarczy spenetrować prace Komitetów Blokowych, wystarczy poszukać w TPD...

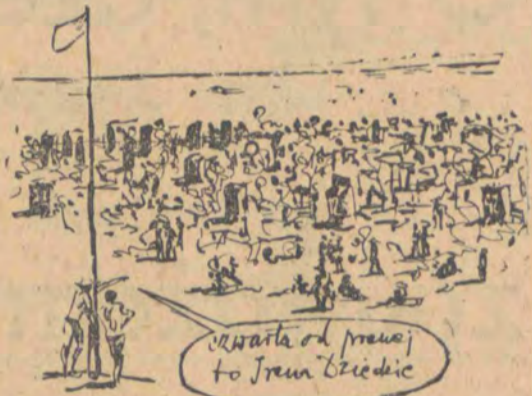
Ale ci ludzie na kolonie nie pojadą. Siatka plac wychowawców kolonijnych jest tak skonstruowana, że praca ta może się jeszcze jako tako opłacić nauczycielom, którzy a) stawkę mają ja niższą, b) dysponują dodatkowym miesiącem urlopu. Któż inny zdecyduje

NASZ GRAFIK

na wczasach

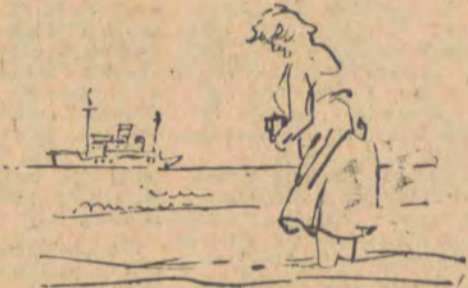
„Wstrzymał słońce...
a my nie możemy

Na grzybkach



Wzrost od pracy
to Jan Brzedzie

Rys. Ibis-Gratkowski



Jestem w tym miasteczku szeryfem od 25 lat. Przez cały ten czas zdarzyło się tu tylko jedno morderstwo. Oczywiście były bijatyki i strzelaniny, lala się czasem krew, widziało się to i owo, ale prawdziwa zbrodnia, i do tego otoczona tajemnicą, zdarzyła się tylko jeden raz i może dlatego tak ciężko mi szło jej wykręcić.

Aaron Kimball był ponurym odludkiem. Przemykał się ulicami miasteczka, tak jakby zawsze dręczył go strach, że któryś znajomy zmusi go do rozmowy. Mieszkał na skraju miasta, w starym, walcącym się domu, i w czasach, kiedy zdarzyło się to, o czym chcę opowiedzieć, z dachu tego domostwa sypały się gonty, okna pozabijane były dyktą, ogród zarósł chwastami. Ogromną pińkę przed domem rozłupał piorun, tak że uschła i sterczała ku niebu, czarna, spalona i pozobawiona liści — istny symbol zupełnego i nieodwracalnego upadku.

Ale Aaronowi żyło się tam dobrze. Wychodził tylko kiedy miał jakiś pilny interes do załatwienia, a my przywykliśmy do tego i miasteczko już całkiem nie zwracało na niego uwagi — aż tu któregoś dnia rozeszła się wiadomość, że ten stary i ponury odludek się ożenił. Nikt nawet nie wiedział o jego zamiarach matrymonialnych, kiedy pewnego dnia wyszło na jaw, że już od miesiąca trzyma w tym ponurym domu młodą i ładną żonę.

Annie — bo tak się ona nazywała — wydała nam się nerwową i jakby wystraszoną. Miała jednak w sobie tyle słodyczy, że wróżyliśmy, iż da sobie z Aaronem radę i może nawet go zmieni.

Wkrótce wyszło na jaw i to, że Annie nie ma rodziny, że z nikim nie koresponduje. Wizyt oczywiście żadnych nie przyjmowała i widywaliśmy ją równie rzadko, jak i jej ponurego małżonka.

Tak minęło parę lat, aż tu którejś nocy listopadowej przybiega do mnie Fred Jefferson, sąsiad Aarona.

— Wybacz, że wyciągam ciebie z łóżka — mówi do mnie — ale boje się, że z Aaronem Kimballem będą kłopoty. Wzobraź sobie, że siedzieliśmy z żoną przy kolacji i wtedy usłyszeliśmy straszny krzyk Annie... Prawde mówiąc, byłem zły na Freda, bo cóż to nadzwyczajnego, że ktoś krzyknie w nocy. Zresztą już uprzednio dochodziły

mnie słuchy, że z małżeństwem Aarona nie jest najlepiej, że zdarzają się pomiędzy nim a Annie awantury, a nawet bijatyki. Ale to sprawy rodzinne i nie powinny one interesować policji.

— I z takiego powodu wyciągasz mnie z łóżka? — powiedziałem ze złością.

— Jakbyś usłyszał jak ona krzyczała, to byś się nie dziwił, że ciebie budzę o tej porze — powiedział Fred — myślimy z żoną, że u Kimballów stało się coś strasznego. I ty, jak sobie chcesz, a ja składam ten raport...

Cóż było robić? Ubrałem się i poszliśmy do Aarona. Noc była deszczowa i ponura, brnęliśmy ciemnymi ulicami przez kałuże i błotko. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed furtką, za którą czerniała ta symboliczna pińka.

— Zostań tu — powiedziałem do Freda, i sam poszedłem przez zarosnięty chwastami ogród ku śpiącemu domostwu. Dobijać musiałem się z 15 minut. Wreszcie Aaron otworzył drzwi, a raczej je uchylił, tak, że w szparze ukazała się tylko część jego ponurej fizjonomii.

— Czego? — zapytał, jak to on, nie siląc się na uprzejmość.

— Aaronie — powiedziałem — czy miałeś jakieś kłopoty?

— Co znowu? Jakie kłopoty?

— A gdzie jest Annie?

— Wyjechała dziś rano.

I tak wyglądała ta nasza rozmowa: co mogłem więcej zrobić? Nawet go przeprosiłem, a potem wycofałem się do furtki i raz jeszcze skłamałem Freda.

Ale ludzie w naszym miasteczku są uparci jak muły i Fred nie dał za wygraną. Nazajutrz przyszedł do mnie ze swą żoną i teraz już we dwójkę opowiadał mi, jak to Annie krzyczała ubiegłej nocy. Musiałem nawet spisać o tym raport.

— No tak — powiedziałem — to nieprawda, że ona rano wyjechała. Zresztą na stacji nikt jej nie widział. Co się za tym kryje?

Przypiąłem znaczek szeryfa, wziąłem pistolet i znowu wybrałem się do Aarona.

— Gdzie jest Annie? — spytałem go po raz wtóry. Wzruszył tylko ramionami.

— Już ci mówiłem... powiedziałem obojętnie, tak jakbym go spytał o godzinę.

— Czy często się z nią kłóciłeś?

— Nigdy. Kłamał jak z nut i bardzo mnie to zezłościło, więc zawałowałem swoich pomocników i zrobiliśmy rewizję. A ja jak już robię rewizję, to nie byle jak. Zaczęliśmy od strychu, potem prze-

— No i co? — powiedziałem do Aarona — wyjechała, a tego z sobą nie wzięła? — Jest tak jak ci powiedziałem — mruknął ze złością — wyjechała. Nawet bez pożegnania...

komórkach. Ale bez skutku.

A potem mijaly tygodnie i miesiące. Po Annie przepadł wszelki ślad. Wiedziałem co o tym myśleć, ale nasz sędzia stanowy ma fioła na punkcie praw człowieka i habeat corpus, i wciąż mi powtarzał, że bez dowodu zbrodni Aarona nie aresztuje. A ten ponury łajdak zachowywał się tak jakby nic się nie zdarzyło.

Na wszelki wypadek wyznaczyłem tajniaka, żeby pilnował Aarona i rozpisalem listy gończe z fotografią ślubną Annie. Żal mi było tej dziewczyny i przysięgałem sobie, że drania przylapię. Zima była bardzo śnieżna i domostwo Kimballów całkiem utonęło w zaspach. Aaron nigdzie się z domu nie ruszał i zrobił się jeszcze większym mrukiem niż dawniej. A na wiosnę zobaczyłem, że się bardzo postarzał: „Nic dziwnego — mówili ludzie — to dlatego, że rzuciła go młoda żona...”

Diabli mnie brali. Teraz kiedy nawet Fred zaczynał wierzyć w tę bajkę o ucieczce Annie, ja, stary policyjny wyga, z każdym dniem nabierałem większej pewności, że Aaron popełnił zbrodnię.

W maju spotkałem go na rynku i spytałem.

— Chyba domyślasz się Aaronie, że podejrzewam ciebie o zabójstwo.

Wzruszył tylko ramionami.

— I jeszcze cię kiedyś przylapię — powiedziałem — zapamiętaj to sobie, póki żyje nie odłożę tej sprawy do akt.

— Dobra, dobra, rób co chcesz... — tak mi wtedy powiedział, obojętnie i znużonym tonem. I nawet nie zadał sobie trudu, żeby zaprzeczać, żeby protestować.

Znów mijaly miesiące. Sprawa zniknięcia Annie dręczyła mnie coraz bardziej, lecz byłem bezsilny. Aaron przywykł już, że ile razy go spotykałem, zawsze brała mnie złość i odgrażałem się, że go przylapię, że mu udowodnię to morderstwo. Tak, minęły trzy lata. Ta sprawa stała się moją manią prześladowczą i nawet jeszcze raz zrobiłem generalną rewizję u Kimballa: wziąłem 15 Murzynów, którzy przez trzy dni rozkopywali mu cały ogród. A potem zerwałem podłogi i nadweryżyłem w jednym miejscu fundament. Niczego nie znalazłem, a Aaron napisał na mnie zażalenie. No i potem musiałem, kląć w duchu, dać mu spokój.

Aż tu pewnego dnia rozszła się pogłoska, że Aaron umiera. Czym prędzej pobiegłem do niego. U furtki natknąłem się na naszego lekarza, który mi powiedział, że sprawa jest beznadziejna i że to nie potrwa nawet do wieczora. W zagraconej i nie sprzątej od lat sypialni Aaron dogorywał, ale na mój widok w oczach jego zjawił się — mógłby na to przysiąc — złośliwy uśmiešek.

— Słuchaj stary — powiedziałem — że z tobą, czy wiesz o tym.

Przytaknął i znów zobaczyłem ten jego krzywy uśmiech.

— Nie zostało ci dużo czasu — powiedziałem — może byś mi więc powiedział wreszcie, co i jak? Będzie ci łatwiej umierać.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a ja czekałem w napięciu zdając sobie sprawę z tego, że już i tak poniosłem porażkę: nie mogłem go przecież ukarać. Ale jemu i tego było za mało, bo chrapliwym głosem powiedział — dureń jesteś! — a potem naciągnął koc na głowę i umarł.

Tak się skończyła jego sprawa. W dwa miesiące później zarząd miejski przystąpił do rozbioru domu Kimballa, bo na tym miejscu miały powstać hale targowe. Przechodziłem właśnie tamtędy, kiedy ścinał tę starą zeschłą pińkę. Naraz któryś z robotników coś krzyknął, od razu zbiegł się tłum, a ja jak w ośnieniu pojąłem, że Aaron wystrychnął mnie na dudka, że nie raz byłem o krok od wykrycia tajemnicy tej zbrodni, że nigdy sobie nie wybaczę swojej tępoty.

I wciąż muszę o tym myśleć. Aaron zrobił ze mnie głupca i nie się nie da na to poradzić. Przecież nawet nie zakopał ciała Annie: po prostu wstawił ją do tego pękniętego pnia, a na wiosnę mrówki dokonały reszty i szkielet biednej kobiety czekałby tam aż po sądny dzień, gdyby akurat w tym miejscu nie budowano hal targowych.

Pogrzeb biednej Annie był moim najcięższym przeżyciem. Nie poszedłem na cmentarz, zamknąłem się w biurze i raz po raz powtarzałem sobie: miałem tego drania w ręku, a dałem mu bezkarnie uciec, jakież ze mnie szeryf?



Donald Honig

szukaliśmy całej mieszkanie. W szafach były wszystkie sukienki Annie na pewno więc nigdzie nie wyjechała. Znalazłem też jej torbę, zawierającą wszystkie drobniaki, portmonek, klucze i metryki.

Przeszukaliśmy potem piwnice, a ja już podejrzewałem, że Aaron ją zabił, więc uważałem, czy nie ma śladów świeżo rozkopanej ziemi. Na wszelki wypadek trochę pogrzebaliśmy i w piwnicy, i w ogrodzie, i w

odpłosz

O tym, czego nie zauważamy

Zdumiewający jest doprawdy ów smutny fakt, że nasza łódzka prasa tak mało informuje i tak słabo wspiera działalność Towarzystw i Stowarzyszeń zajmujących się kształtowaniem światopoglądu laickiego. Pod tym względem trudno ustalić, która z naszych gazet bardziej jest winna, z pewnością jednak „Odgłosy” jedyny tygodnik łódzki do niewiniątek nie należy.

Tymczasem dorobek Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Towarzystwa Szkoły Świeckiej i Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli na terenie Łodzi jest wcale pokazy. Przyjrzyjmy się najpierw najbardziej elementarnym wskaźnikom tego dorobku w latach 1961-62.

TWP, najstarsze i najbardziej doświadczone dano społeczeństwu 950 odczytów w 1961 roku i 1301 w roku ubiegłym. Analogiczne cyfry dla TSS — 175 i 722 odczytów, a więc rozwój bardzo poważny. Dla SAiW — 123 i 168 odczytów.

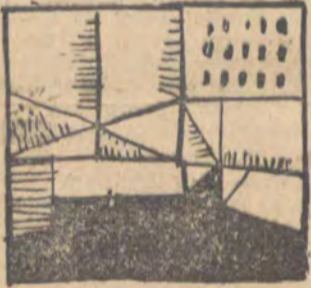
Zasięg tych trzech organizacji społecznych jest w sumie szeroki, a każda z nich dociera do innych kręgów społecznych. Od zakładów pracy, poprzez kluby i świet-

nych, sklerikalizowanych na amen kół. To przecież jasne, dlatego kilka słów o mniej spodziewanych trudnościach. Pierwszą już wymieniałem — pewna obojętność prasy, radia, telewizji, wielu kierowników zakładów pracy, szkół, instytucji. Panuje często przekonanie, że zasada współistnienia jest wszechogarniająca dotyczy każdej dziedziny życia, po prostu przestajemy walczyć, ale to my przestajemy, oni wcale nie przestają, znaczy przeciwnicy myśli laickiej.

Niepokoj także jakaś rutyniczna postawa pewnej części nauczycieli. Ta część uważa eksponowanie laickich elementów w nauczaniu za ciężki kawałek chleba, żąda czegoś w rodzaju ścisłej receptury na momenty laickie w programie nauczania, po prostu boi się samodzielnych interpretacji, woli ministerialne. A przecież nauczycielstwo stanowi najważniejszy odcinek w pracy nad rozwojem postaw laickich w naszym społeczeństwie. Nauczyciele powinni też dostarczać prelegentów spośród siebie. Mało dostarczają, a prelegentów brak.

Brak odpowiednich prelegentów to jeszcze jedna trudność. Chodzi przecież nie tylko o ludzi głęboko ideowych, ale i odpowiednio przygotowanych. Mało zwłaszcza mamy specjalistów znających problematykę filozoficzno-swiatłooświatową. Ale to już nie jest wina nauczycieli, lecz tego nieszczęśliwego, który spowodował całkowity niemal upadek studiów filozoficznych na naszym Uniwersytecie.

Wreszcie, co tu ukrywać, środki materialne także nie są wystarczające. Towarzystwo Szkoły Świeckiej miało wszelkie dane po temu, aby w roku szkolnym 1962/63 prowadzić zgodnie z planem, 30 Uniwersyteckich, prowadzi zaś tylko 9. Na tę nie była jaką, bo trzykrotnie większą część nie starczyło środków. Problem jest nieco szerszy. Ta dziedzina pracy, ogromnie trudna, ważna politycznie i wymagająca wyjątkowo starannego przygotowania, traktowana jest nieco po macoszemu. Znany wypadek obustronnego zażenowania, kiedy po miesiącu wypadzie załatwia prelegent sprawę honorarium, powiedzmy w TWP. Tak być nie powinno, jeżeli inne organizacje społeczne mogą sobie pozwolić na honoraria dwa, albo i trzykrotnie wyższe. I tu nie chodzi tylko o



lice przykładowe, środowiska otwarte, odwiedzające np. biblioteki, aż do rodziców, nauczycieli i młodzieży.

Jak zawsze w żywej działalności obywatelskiej tak i tu nie tyle jest ważne, że się robi, lecz — co się robi. Laicyzacja naszego społeczeństwa wcale nie jest łatwa, wymaga nie tylko taktu, dużych umiejętności w tym co nazywamy właściwym podejściem do słuchaczy, dobrego zestawienia omawianych problemów i rzetelnej wiedzy. Jest to bowiem ta dziedzina życia, której żadną miarą nie da się zadekretować, tu trzeba przekonywać cierpliwie, usta wciągnąć, przy pomocy wiedzy i niezbitych argumentów.

Ubiegłego roku wysłuchało prelegentów wszystkich trzech organizacji około 180 tys. ludzi. Wydaje się, że poruszone problemy dobrze zostały trafnie, odpowiadają bowiem na zasadnicze pytanie — jakie jest miejsce nowoczesnego człowieka w świecie i jaki jest nowoczesny świat, w jakim kierunku zmierza, kto wyznacza jego przyszłość jeżeli nie człowiek poszerzający swoje horyzonty poznawcze, uzbrajający się, dzięki nauce, w coraz doskonalsze narzędzia dalszej przebudowy świata? Kto tej przebudowie przeszkadza, ja kie sily społeczne?

Nie brak także problemów teoretyczno-filozoficznych, ale i praktycznych jest dużo, że wspomnę cały kompleks zagadnień związanych z socjalistycznym wychowaniem, czy kształtowaniem postawy tolerancji w codziennym życiu.

Nie ma róży bez kolców, wszystkie trzy towarzystwa napotykały w swojej społecznej działalności na poważne opory. Tkwią one nie tylko w zastarzałych postawach niektórych kręgów społeczeństwa czy w przeciwdziałaniu najbardziej konserwatywnym,

to, że prelegenci uciekają od pracy. Każde z trzech omawianych Towarzystw posiada stałą, rozmiętą w swojej pracy kadrę, która idzie śmiało w teren nie oglądając się na pieniądze, typ bezinteresownego, oddanego sprawie, działacza społecznego jeszcze u nas nie umarli. Ale właśnie dlatego należy go honorować na równi z pisarzem, który daje wieczór autorzy, czy z inżynierem, który mówi o nowych technologiach.

OBSERWATOR



Na zdjęciu, które opublikowała cała niemal prasa światowa, Byron de La Beckwith wygląda właściwie nijako. Spróbujmy jednak do patrzeć się czegoś szczególnego w tej niemal wytworzonej sylwetce 42-letniego mężczyzny, nawykłego do dobrobytu i umiającego z łask dobrobytu korzystać. Więc co rzuca się w oczy? Ręce: nerwowe, długopalce ręce człowieka, nie znającego pracy fizycznej. Usta: twarde, zaciśnięte w wąską szramę, wyrażające już tylko nienawiść. Oczy: uciekające gdzieś w bok, naznaczone piętnem okrucieństwa — czy może, jak chce obrona — dziedzicznej schizofrenii.

Byron de La Beckwith, postać jakby żywcem wzięta z powieści Faulknera, sły nie jak delta Missisipi długa i szeroka ze szczególnie wytwornych manier, mocno podkreślonego staromodnego „mayflowerizmu”. Jest przecież spadkobiercą szczególnej tradycji: pradziad — tak jak Sartoris i Sutpen — był żołnierzem Konfederacji, plantatorem i założycielem dynastii finansowej. Byron odziedziczył po nim już tylko patologiczny wrost rasizm. No, i osuwający się w ruinę dom w stylu kolonialnym, odsunięty od ulicy, ukryty za żywopłotem z werbeny. W tym domu Byron żyje od dzieciństwa, tu wraca z wojny, w tych ścianach dokonuje się rozkład jego małżeństwa. Miasteczko z tego na wpół zakonspirowanego żywota dostrzega same niemal pozory. W oczach miasteczka Byron zasługuje na szacunek.

11 czerwca już od zmroku leży Byron de La Beckwith w zaroślach otaczających murzynskie domostwa w Jackson. Czatuje. Około północy ścieżką wśród zarośli nadchodzi Medgar Evers, spo-

MORD na POŁUDNIU

kojny, nikomu nie wadzący człowiek, który kiedyś razem z Byronem walczył w Europie przeciwko hitleryzmowi. De La Beckwith właśnie na niego czeka. Evers wchodzi w smug światła i wtedy Byron strzela do niego z myśliwskiej fuzji, strzela na pewniaka, używając snajperskiej lunety. Zabija. I teraz spieszenie wyciera fuzję, by na niej nie zostały odciski palców. Porzuca ją w krzakach, wraca do domu i spokojnie kładzie się spać. Ko niec. Dzieło spełnione.

W Jackson — tak jak na całym Południu — Murzyn, który waży się na protest przeciw swej krzywdzie, wie co może go spotkać. Medgar Evers zdawał sobie sprawę z tego, że może stać się ofiarą zamachu: miał też

swoją rodzinną tradycję, z rąk białych zginął jego ojciec i jego teść.

Lecz tym razem zabójstwo przywódcy murzyńskiego wywołało moralny wstrząs i protest. Jest przecież burzliwy rok 1963. Prokurator generalny Robert Kennedy zarządza ostre śledztwo i policja znajduje fuzję. Staro- to z niej odciski palców, prócz jednego, pozostawionego na snajperskiej sześciokrotnej lunecie. Ale nawet w olbrzymiej kartotece FBI liczącej 168 milionów kart — nie ma tego odcisku palca. A więc to ktoś nieskazitelny. Luneta do broni myśliwskiej jest marki Goldenfawks — tysiące takich egzemplarzy sprzedaje się w Stanach co roku. Ale to jedyny ślad — i policja pójdzie za nim, by trafić zra-

zu do stanu Missisipi, a potem i do domu Byrona de La Beckwith.

Odcisk palca należy bezspornie do niego, mimo to Byron nie przyznaje się do zamordowania Eversa, wzu sza ramionami, twierdzi, że o niczym nie wie. Spokojnie daje sobie nałożyć kajdanki. Nazajutrz jego obrońca rozpoczyna kampanię: wysuwa argumenty schizofrenii, niepczytalności. Sprawa jest precedensowa. Taki polityczny proces mógłby się zakończyć wyrokiem śmierci dla mordercy. A kto tu na Południu słyszał o wyroku śmierci za zabicie czarnucha? Więc czy dojdzie do tego procesu?

Miasteczko Jackson zna Byrona de La Beckwith od dzieciństwa. Uważa go za człowieka uprzejmego, religijnego i uczynnego. Te cechy pomogły mu w karierze, wyrobiły opinię solidnego handlowca. Teraz, gdy już padł morderczy strzał, ludzie przypominają sobie, że Byron był zawsze fanatycznym rasistą, że w takiej był wychowany tradycji, że lubił powtarzać: — „Czarnucha trzeba unurzać w błocie, powiesić na wysokim drzewie, żeby wysechł a potem dobrze wytrząpać, tylko to nauczy go rozumu”.

Beckwith nigdy nie krył sympatii dla Ku-Klux-Klanu, uwielbia generała Walke- ra, stale powtarza frazesy antykomunistyczne. To stało podniecenie, to nurzanie się w nienawiści określa stan umysłowy tego człowieka — stan, który musiał doprowadzić do zbrodni. Prasa amerykańska nazywa ten stan psychiczny Byrona de La Beckwith — rodzajem „hob- by”. Nam takie określenie nie trafia do przekonania. Trafniejszy wydaje nam się sąd Williama Faulknera, tak dobrze znającego przecież Południe.

„To nazizm: opisałem go tu na tej ziemi, kiedy jeszcze nie słyszeliśmy o Hitlerze”.

Oprac. W.



Byron de la Beckwith

Książka biblioteczna tania czy droga?

Dalszy ciąg ze str. 5

dzi jest wysoka. Ale pamiętać należy, iż w zamierzeniach historycznych założycieli tej placówki było postanowione, jako wynik długotrwałych dyskusji całej ówczesnej opinii publicznej, iż Biblioteka Łódzka powinna stać na wysokim poziomie naukowym jako konieczność kulturowa w dużym mieście i w środowisku pracy, gdzie nie było tradycji naukowej. Charakter tej biblioteki oparty jest na najlepszych wzorach bibliotek publicznych cywilizowanego świata.

Podobne biblioteki mają także największe miasta w

Polisce; Warszawa, Kraków, Poznań i Lublin (Biblioteka Publ. m. st. Warszawy, m. Krakowa, Biblioteka im. Raczyńskich i Biblioteka im. Łopacińskiego). Mimo, iż w tych miastach, tak samo jak i w Łodzi są uniwersytety, politechniki i akademie medyczne, i mimo, że są tam odpowiednie biblioteki szkół wyższych, to nikomu nie przyjdzie na myśl aby kwestionować celowość istnienia jednocześnie bibliotek publicznych lub ich wysoki poziom naukowy.

Trzeba więc mieć w takiej bibliotece kilka odpowiednich wielkich i najnowszych encyklopedii zagranicznych; trzeba także od czasu do czasu odświeżyć jakiś dział naukowy większym transportem nowość w języku angielskim, francuskim, czy nie-

mieckim itd. A za to płaci się dewizami!

Nasza prasa zawodowa, podkreślając w swoim czasie fakt wysokich przeciętnych cen książek Biblioteki Łódzkiej, nie kwestionuje bynajmniej tej zasady, lecz tylko przypuszcza, że Łódź w dalszym ciągu ma ambicję utrzymania wysokiego stylu swej pracy. A to jest raczej ocena pozytywna, nie krytyczna.

Zastrzeżenia istniejące w niektórych kołach naszego społeczeństwa odnośnie drogich książek w bibliotekach publicznych mogą mieć dla życia kulturalnego przykre następstwa. Nie nabywa się, przy dobrych okazjach, cennych dzieł czy pomnikowych wydawnictw, a jednocześnie poza granice kraju przecieka wielka ilość druków cennych, które zubożają naszą kulturę, a

wzbogacają biblioteki obce. Preferowanie książki taniej może czasem mieć tragicomiczne następstwa.

Byłem świadkiem, gdy w okresie międzywojennym pewien ubożuchny duchem inicjator założenia biblioteki społecznej, uzyskawszy ze składek 1000 zł, zakupił za tę sumę 2.000 książek, kierując się zasadą oszczędności przy kompletowaniu księgozbioru. Były to broszurki po 50 groszy, wyśrodkowane przez nakładcę i przeznaczone na makulaturę. Nabył je antykwariusz i z zyskiem sprzedał owemu naiwnemu działaczowi z przedmieścia Łodzi. Oczywiście nikt tego nie czytał; ze stanowiska doboru wychowawczego książki te nie miały żadnej wartości; ofiarowane fundusze zostały zmarnowane.

JAN AUGUSTYNIAK

PRZECIWKO ZAGROŻENIU



Fotel telemana: „ZNANE i LUBIANE”

Były to rzeczywiście znane i lubiane — kiedyś — piosenki. Ciekawy dobry pomysł (i tani chyba, i nie najtrudniejszy do realizacji), wykorzystania filmów z dawnymi przebojami „sprzedawała” nie najszcześliwiej w ubiegłą sobotę znana diva operetkowa Beata Artemska. Wypadła tak żenująco słabo, tak smutno, tak była sztuczna w przytomnych pozach (kamera, to wróg nienaturalności numer jeden), że w zasadzie popsuła miłe zapowiadający się wieczór. Myślę jednak, że wina Beaty Artemskiej jest jednak mniejsza niż reżysera programu, który ją zaangażował, a przede wszystkim należy winić tego mądrego, który

postanowił wprowadzić do wieczoru rozrywkowego posiatek konferansjera, konkurującego ze śpiewakami, których przedstawia. Trochę więcej pracy przy montażu poszczególnych fragmentów filmowych i powstałaby całość, nie wymagająca objaśnień. Poza tym, to nie Beata Artemska wymyśliła ów wielce fletyżny, aż krzącający się od pseudodowodów tekst konferansjerski. Obawiam się, że nawet pierwszy mistrz estrady w takim tekście poczułby się mocno niewyrażnie. Gratulujemy autorowi i... telewizji, która ten tekst zatwierdziła i nie lękała się go publicznie użytkować.

MEMENTO

W osiemnastą rocznicę wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą, Telewizja Polska nadała specjalny program publicystyczny — „Ojcowie epoki”. Odbił się on tym razem poza trybuną „Światowida”, chociaż do tej pory „Światowid” angażował się w aktualnie przypadające rocznice historyczne — polityczne. Program o Hiroszimie był bezsprzecznie najlepszą pozycją tygodnia — raczej lekkiego w swoim przekroju tematycznym; i nie miał konkurenta. Nie miał nawet w dyskusji akademickiej, pustej, jałowej dyskusji na ważki te-

mat „Światopogląd, a wychowanie”. Autorzy programu „Ojcowie epoki” wykorzystali — jako podstawę audycji pamiątkę amerykańskiego oficera, który w ciągu ulamka sekundy, spowodował śmierć dwustu tysięcy ludzi. Pod tą autentyczną, wstrząsającą, refleksyjną narracją (czytał bardzo pięknie Adam Hanuszkiewicz) zmontowany został obraz, w połowie ze zdjęć filmowych, w połowie z kulturalnie i oszczędnie inscenizowanych sekwencji. Tak sugestywnej i tak wymownej audycji dawno nie oglądaliśmy w telewizji.

Nie sędzę, nie podejrzewam nawet, aby w swoich założeniach programowych telewizja uwzględniła taką kwestię, jak antagonizmowa konkurencja z kinem, czy teatrem lub — aby telewizja obmyślała pracownice strategiczne metody i środki, przy pomocy których można by było jeszcze skuteczniej zniebić przeciwników. Bo cokolwiek nie zostało powiedziane na temat rzekomo łagodnego i autonomicznego charakteru telewizji, pewnym jest, że stanowi ona konkretne, wymierne w liczbach niebezpieczeństwo dla teatru i może w mniejszym zakresie dla filmu. Sytuacja jest przy tym wyjątkowo nierówna: ani teatr, ani film nie są w stanie zagrozić telewizji, podczas, gdy telewizja zaczyna — i to bez najmniejszego wysiłku — bić teatr i film na łeb i na szyję. Kiedy ileś tam lat temu radio weszło w parady prasy — ta, obawiając się o swoje istnienie, rozpoczęła bojkot programów radiowych. Brzmiało to dzisiaj śmiešno, wręcz humorystycznie, ponieważ — jak dobrze wiadomo — radio i prasa doskonale teraz współzyczą ze sobą, nie wadząc sobie wzajemnie, a nawet pomagając: obawa konkurencji okazała się tu alarmem z gruntu fałszywym. Być może, że i nasze obecne, coraz częściej ostrzeżenia potocznych obserwatorów zjawisk, wywołanych masowym powodzeniem telewizji, zawierają wiele cech takiego niepotrzebnego, fałszywego alarmu, ale faktem obiektywnym, niezależnym od niczyjej wyobraźni, jest ogromny — na przestrzeni ostatnich lat — spadek frekwencji w kinach i taki sam spadek frekwencji w teatrach. To negatywne zjawisko, powinno ulec, jeżeli już nie całkowitej likwidacji (obawiam się, że jest niemożliwa), to przynajmniej ostremu zahamowaniu. Tymczasem, telewizja idąc po linii najmniejszego oporu, dubluje normalny teatr, dubluje

też i film, często metodą na „hura”. W dziury programowe telewizja wstawia nieodmiennie film (po tylu latach doświadczeń owych „dziur” nie powinno być), w ogóle, ich istnienie potwierdza tylko przypadkowość polityki programowej w telewizji: występuje przecież, i to nie tak znowu rzadko, także tygodnie telewizyjne, w których leci film za filmem, bez wyboru, bez selekcji — w konsekwencji zaś otrzymujemy kilkanaście pozycji filmowych w ciągu zaledwie siedmiu dni, porcja końska, ale i koń by jej nie wytrzymał. Wytrzymuje ją jednak w swojej bezmiernie cierpliwości widz, dla którego film stanowi jedną z największych atrakcji telewizyjnych. Z kolei zdarzają się tygodnie wybitnie teatralne: oglądamy wtedy i Teatr Przedziakowy i Studio 63, i Kobra i Teatr Popularny, a na dokładkę jeszcze jakąś transmisję z teatru. A widz znowu ogląda, ponieważ teatr w telewizji stanowi jedną z najbardziej wartościowych pozycji. Te jasrawe, rażące przykłady chaotycznej, nieprzemysłowej, „odwalanej” bez porządku polityki programowej w telewizji mają również swoje praktyczne konsekwencje: kto po takim na przykład tygodniu teatralnym odważy się pójść do normalnego teatru? A więc punkt pierwszy i za sadniczy — polityka programowa telewizji powinna ulec radykalnej zmianie. Raz, że wystawia mocno niekorzystne świadectwo samej telewizji, dwa — że komplikuje bezmyślnie sytuację filmu i teatru. A jaki sens posiada emisja filmów fabularnych polskiej produkcji? Chodził mi przede wszystkim o te filmy, których czas żywością jeszcze się nie skończył — o filmy z niezbyt odległą datą produkcji. Telewizja ma prawo dokonać zakupu filmu polskiego do okresu — bodajże — sześciu miesięcy jego życia na ekranach.

Niestety, w praktyce oznacza to sytuację mocno niekorzystną dla danego filmu. Zdarza się przecież, że film idący w kinie, jest emitowany w telewizji. Konsekwencja — wiadoma, chociaż takie proste przeciwdziałanie: założyć okres kłauzuli nie na sześć miesięcy, a powiedzmy — na dwa lata. Wówczas owca będzie przynajmniej trochę cała. Film zresztą i tak pozostaje w położeniu o wiele korzystniejszym niż teatr. Jest bardziej popularny, bardziej masowy i tańszy od teatru. Zagrożenie teatru przez telewizję jest więc bardziej niebezpieczne. Teatr normalny posiada stały zespół aktorów, teatr telewizyjny dobiera najlepszych z najlepszych i nie istnieje dla niego żadne przeszkody może spowodować dla siebie każdego aktora, na którego tylko ma ochotę. Aktor ma zaś dzięki telewizji większe szanse na zrobienie kariery, na uzyskanie popularności i uznania za jednego „zamaczera”, podczas jednego spektaklu telewizyjnego. W teatrze na to samo uznanie i popularność musi zasłużyć nie raz wieloletnią pracą. Wreszcie w telewizji swoją rolę gra tylko raz — nie ma więc czasu się nią znudzić. To wszystko otwiera szalone możliwości przed teatrem telewizyjnym, ogranicza zaś do minimum możliwości normalnego teatru. I jeżeli widz ogląda w telewizji spektakle, które niewiele swoją techniką różnią się od normalnych przedstawień teatralnych, to — siłą rzeczy powiada — po co mi chodzić do teatru, tracić czas i pieniądze? Pytanie — dylemat, ale z rozwiązaniem. Telewizja nie powinna dublować teatru. Pod stawowa trudność polega na tym, że chyba nikt na sto procent nie wie, jak ma wyglądać autentyczny z krwi i kości teatr telewizyjny. Reżyserii telewizyjnej podejmują się i reżyserzy teatralni i filmowi, i sami aktorzy, ale reżyserów telewizyjnych z praw

dziwego zdarzenia, kierujących się nie tylko gołą intuicją, mamy jeszcze bardzo niewielu. Adaptacje dokonywane są najczęściej w tradycyjnej konwencji teatralnej. Próby wyłamania się od tej zasady są, albo sztuczne (np. „Polowanie” Triendiakowa w reżyserii i adaptacji Andrzeja Kónica), albo nieudane (tu już sobie każdy we własnym zakresie może uzupełnić dowolną ilością przykładów). Dramat telewizyjny w zasadzie nie istnieje. Niewiele też robi się wysiłków w celu jego stworzenia. Konkursy na sztukę telewizyjną są taką rzadkością, że dziwić się nie należy ich artystycznym wynikiem. „Cedrowy dwór” Krzysztofa Chońskiego sztuka, która otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie telewizyjnym, okazała się utworem — pomijając jego „wartości” artystyczne zgola antytelewisyjnym. „Studio 63” jest tak bardzo nierówne w swoim repertuarze, że zastanawiam się poważnie, czy jego kierownictwo rozumie własne chwile istoty eksperymentalnej sceny. Dowodem tego może być chociażby ostatni spektakl „Studia” — „Jego mała dziewczynka” Tymoteusza Karpowicza, utwór tak zły, tak rażący sztuczny, bełkotliwy, że reżyser, który się podjął jego realizacji, musiał być wyjątkowo odważny. Jeżeli więc telewizyjna scena eksperymentalna zawodzi, to jak może wypaść zwykły teatr telewizyjny? Przysnam się że wole ten zwykły niż ten, w rodzaju „Jego małej dziewczynki”. Tworzony jest przynajmniej dla ludzi przeciętnie normalnych, którym nie wstyd się przyznać, że nie rozumieją wysublimowanych uduwnień. Ale i ten zwykły teatr telewizyjny powinien mieć swój własny styl, i powinien być odrębnym, oryginalnym, ściśle telewizyjnym gatunkiem sztuki. Nie takie to proste jakby się wydawało.

KOWALSKI



Ogromną popularność zdobyła sobie w USA młodzieżka aktorka angielska Hayley Mills (oglądamy ją obecnie w filmie „Nieletni świadek”, za który otrzymała Oscara). Otóż Walt Disney powierzył jej główną rolę w swoim filmie „Naręczona taty”. Hayley Mills gra tam podwójną rolę dwóch sióstr bliźniaczek. Po telewizyjnym pokazie „Naręczona taty” w USA, większość telewizji zachodnich zakupiła już ten film.

Widowskimi fantastycznymi w telewizji wyprzedziliśmy Francuzów. Jeszcze w ubiegłym roku Katowice i Warszawa pokazywały specjalnie dla telewizji pisane sztuki Stanisława Lema. Natomiast telewizja francuska dopiero w grudniu 1962 r. nadała sztukę fantastyczno-naukową „Statek — Gwiazda”. Treścią jej są dzieje polazdu kosmicznego i jego załogi, która od 300 lat krąży po kosmosie, dążąc do nieznanego celu. Telewizjowicze francuscy przyjęli widowsko tego typu z aplauzem. Teraz mają one szansę na stałe zadomowić się w programie telewizji francuskiej.

Na zdjęciu: Popularny amant filmu i telewizji francuskiej (znany u nas z takich filmów jak: „Praczkę z Portugalii”, „Sąd Boży”, czy ostatnio pokazanych w telewizji „Niedobrych spotkań”) Jean Claude Pascal, z powodzeniem występujący również jako piosenkarz.

Polecamy audycje

Polecamy przede wszystkim zaczynający się od czwartku (15. VIII.) Festiwal Piosenki 1963 w Sopocie. Pierwszy dzień będzie dniem eliminacji polskich, zobaczymy między innymi: Irenę Santor, Wiesławę Drojecką, Katarzynę Boverę, Marię Kolerbską, Barbarę Rylską, Zofię Voit. Nasi piosenkarze zaprezentują pierwszy odcinek 21 piosenki. W piątek transmisja drugiego dnia — który będzie dniem międzynarodowym. Wszyscy piosenkarze wykonają w swoim rodzimym języku piosenki, skomponowane specjalnie na Festiwal. Sobota — Dzień Polski, każdy piosenkarz zagraniczny wykonuje polską piosenkę. Całość reżyseruje Jerzy Gruza, kształt telewizyjny nadaje — E. Klekow. W czwartek mamy kolejne wydanie „Tele-echa” o godz. 19.25. Wszystkim zaś telewizjowicom polecam szczególnie gorąco obejrzenie o godz. 18-tej repertuaru filmowego „Spacer po mieście Gorki”. Program będzie transmitowany z Moskwy dla całej sieci interwizyjnej. Przygotował go operatorka moskiewskiej telewizji.

ma — obejrzyć ten program wzbogacający naszą wiedzę humanistyczną. Pewnie z powodu Festiwalu znakomity film Francesco Maselliego — „Bohaterka dnia” telewizja nada w godzinach rannych — sobota godz. 10-11. Nie jest to najszcześliwsza godzina emisji, wielu telewizjowców ominie możliwość obejrzenia tego filmu. Był on wyświetlany na ekranach naszych kin w roku 1959. Tym jednak, którzy mają wolne przedpółdnie, radzę zrzęgnąć z dłuższego snu i koniecznie zobaczyć film Maselliego. Film ten był w swoim czasie bardzo głośny, ze względu nie tylko na wybitne walory artystyczne ale przede wszystkim ze względu na treść. Opowiada bowiem historię sprytnego dzweczynny, która pragnie za wszelką cenę zrobić „karriere”. W roli tytułowej — świetna aktorka Véra Lisi, oraz: Franca Fabrizi, Serge Reggiani i Antonio Cifariello. Niedziela, jak zwykle, ma to atrakcyjną. Jedyna pozycja, na którą zwrócić uwagę jest program muzyczny ze Schwerina (NRD) — „Wieczorna serenada”.

PYTEL JIDÁŠŮ

K ránu nastoupil Albert do oddělení, v kterém jela krásná žena v perzánovém kožichu... Oto pierwsze zdanie powieści Zbigniewa Nienackiego „Worek Judaszów”, przetłumaczonej ostatnio na język czeski. Powieść wydało „Nase Voj-skó” w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy (u nas „Worek Judaszów” ukazał się w ilości 7,250 egz., ale nie dziwnego, my, okazuje się, jesteśmy „lepszymi” kalkulatorami niż Czesi) — cena 7 koron, (u nas 10 zł, ale oczywiście cena teoretyczna, gdyż książki już kupić nie można). Wydawca zaznacza, iż jest to jego 2712 publikacja w tej serii książek. Powieść przełożyła Helena Teigowa, znana tłumaczka czeska, m. in. dzieł Marii Dąbrowskiej i Leona Kruczkowskiego. Okładkę projektował Jiří Hilmar.

Odnawiamy ten fakt z prawdziwą przyjemnością, oczywiście ma on znaczenie szersze, ale świadczą również o tym, że i u nas, w państwie łódzkim coś się ciekawego dzieje.



odgłosy TYGODNIA

OBYSMY NIE MIELI Z NIMI DO CZYNienia

Mówimy o kolegach karno-administracyjnych w naszym mieście. Dlaczego lepiej nie mieć z nimi do czynienia? Jasne chyba, jeżeli stajemy przed takim kolegium, to znaczy, że nabroiliśmy przeciwko porządkowi, czy spokojowi publicznemu, więc przyjemność żadna.

Z przyjemnością jednak piszemy o pracy kolegiów, gdyż z roku na rok ulega ona poprawie. Zapewne dlatego, że ponad ośmiuset (dokładnie 840) wybranych ostatnio członków kolegiów, to już nie przygodnie zebrani ludzie, lecz zamilowani społecznicy, o coraz większych kwalifikacjach. W roku 1959 mieliśmy 20 proc. członków kolegiów z wyższym wykształceniem, a teraz już 31 proc. Także i procent prawników wzrósł z 7,5 do 17,5. Cieszy też, bardzo cieszy, znacznie większy udział kobiet, jest ich obecnie aż 43 proc. w kolegiach. Złotliwi powiadają, że to właśnie kobiety bywają najczęściej powodem kłótni, rozróbek „na cały blok”, albo i ulicę, więc dobrze, że będą spory rozstrzygać. Jesteśmy innego zdania — uspokojenie kobiet samo przez się jest zjawiskiem

korzystnym, ponadto zaś w sprawach stosunków międzyludzkich wykazują one daleko więcej inteligencji niż mężczyźni.

Wreszcie nie chodzi przecież w działalności kolegiów o tzw. „pyskówki”. Tego rodzaju schorzeniem w stosunkach między ludźmi zajmują się i to bardzo skutecznie komisje pojednawcze. Jest ich obecnie 172 (rok temu — 128), a rozpatrzyły one od października 1962 do czerwca br. 595 spraw i aż w 532 przypadkach doprowadziły do pojednania zwaśnionych i zacierzawionych stron.

Podoba się nam bardzo nowe kierunki działalności kolegiów. Oto chcą one zabrać z gestii sądów sprawy drobnych wykroczeń, takich do 300 złotych, chcą także położyć silniejszy nacisk na przywoływanie do porządku wandalii, a więc wyjątkowo brzydkiego gatunku obywateli, którzy niszczą balkony, klatki schodowe, drzwi, okna, schody, ubikacje, wszystko, co popadnie, a służą ludziom.

Ranga kolegiów i komisji rośnie, ich sankcja staje się coraz bardziej społeczna, lepiej więc nie mieć z nimi do czynienia.

„Małe” i „duże” sprawy

Otrzymał list z MKZ, który ponieź drukujemy:

W związku z notatką zamieszczoną w „Odgłosach” w dniu 4.VIII.63 r. Nr 31 pt. „Przygoda” z „Przygodą” wyjaśniamy.

Przepisy nasze nie przewidywały odwolywania seansów w wypadku zbyt małej ilości widzów, niemniej może to mieć miejsce, o ile kierownik kina porozumie się w tej sprawie z widzami.

W omawianym wypadku obecnych było 6 a nie 13 osób co wykazało przeprowadzone na miejscu dochodzenie oraz

potwierdza złożony na ręce kierownika kina list jednego z widzów.

Na prośbę kierownika, dotyczącą odwołania seansu, nie wyrażali zgody jedynie autor notatki oraz towarzysząca mu osoba.

Za spotkany zawód Autora tej notatki przepraszamy ale równocześnie wyjaśniamy: 1) traktujemy jednakowo widzów, tak tych ze środowiska jak i peryferii. 2) Film „Przygoda” grany był uprzednio w kinach: „Wisła”, „Gdynia”, „Sty-lowy” i „Wiśniarz”.

Zamieszczamy wyjaśnienie MKZ w Łodzi — pozwalamy sobie przy tym zauważyć:

1) jeśli przepisy nie przewidywały odwolywania seansów w wypadku zbyt małej ilości widzów — i jeśli (jak wynika z wyjaśnienia) „na prośbę kierownika dotyczącą odwołania seansu nie wyraził jedynie zgody autor notatki oraz towarzysząca mu osoba” — kierownik winien — dla tych dwóch osób — film wyświetlić. To chyba jasne, prawda?

2) na jakiej podstawie MKZ twierdzi, że w omawianym wypadku obecnych było 6 a nie 13 osób („co wykazało przeprowadzone na miejscu dochodzenie oraz potwierdza złożony na ręce kierownika list jednego z widzów”)?

Są dwie relacje (pisemne) — jedna autora notatki zamieszczonej w „Odgłosach” — druga autora listu, który MKZ przesłał do wiadomości redakcji. Jedna z tych relacji jest fałszywa. Jeden z autorów się myli — ale który? Dlaczego MKZ twierdzi, że myli się autor noty wydrukowanej w „Odgłosach”? Ten rachunek jest zresztą nieistotny. Istotna jest decyzja wyświetlenia czy niewyświetlenia filmu.

Zamieszczamy list MKZ i nasze uwagi, bo chociaż rzecz w końcu dotyczy „małej” sprawy, sądzimy jednak, że pewne obyczaje obowiązują tak w małych jak i dużych sprawach.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



ADAM DANIEWICZ

Aktor i reżyser średniego pokolenia związany od długich lat z Łodzią — występował tu na deskach Teatru Powszechnego i Teatru Nowego, dając cały szereg interesujących ról, z których szczególnie warto dziś przypomnieć: Ignatiewa w pamiętnej „Tani” Arbuzowa, profesora Higginsa w „Pigmalionie”, czy Ojca w „Pamiętniku Anny Frank”.

Jedną z jego najświeższych ról jest Murzyn w „Ladacznicy z zasadami” J. P. Sartre'a (patrz zdjęcie).

Adam Daniewicz jest zarazem profesorem PWSTiF i znaczną część swojego czasu poświęca wysoko cenionej przez młodzież pracy pedagogicznej.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

CO JEST SZUKAJĄ A CO NIE?

Nie jest sztuką stwierdzenie mankamenty naszego handlu. Wiadomo, od czasu do czasu brakuje jaj, czy śmietany, a przecież nie powinno, zwłaszcza w okresie letnim. W Łodzi trudno, niekiedy nawet bardzo trudno o lepsze gatunki papierosów, cukierków, trudno określić o kaka, a jak były tuszkawki, to z reguły gorszego gatunku, lepsze poszły do innych miast, a także na mroźniki. Jeżeli mamy do licha i trochę pralek, to akurat tych drogiej i niechodli-

wych, jeżeli są maszyny do szycia, brakuje akurat dodatków krawieckich, nie ma też zbyt wiele odkurzaczy, takich lodówek, nie mówiąc już o tkaninach pościelowych. Aż dziwne, nie ma tkanin pościelowych w Łodzi.

Wszystko to nie sztuka stwierdzić, wystarczy być tylko przeciętnym obywatelem, takim „kolejkowym”. Sztuka natomiast znaleźć przyczynny mankamentów i jakoś im zapobiec. W ubiegłym tygodniu „Odgłosy tygodnia” zwróciły uwagę na dwie z tych przyczyn, a mianowicie na brak zaplecza magazynowego z prawdziwego zdarzenia i wadliwa sieć sklepów.

A teraz jeszcze dwie inne przy czyny. Jedną wprost nieprawdopodobną. Sklepy podlegają Wydziałowi Handlu Rady Narodowej m. Łodzi, a hurtownie ministerstwu. To znaczy, że Wydział Handlu odpowiada za wszystko, a na nie nie ma wpływu, jeśli chodzi o zaopatrzenie, natomiast hurtownie akurat

przeciwni — nie odpowiadają przed zwykłymi ludźmi, a mogą dla nich uczynić wszystko. Pieramaldany torrens wynalazek, którego żyć się wrogom.

Druga przyczyna, może nie tak istotna, ważna przecież, dotyczy pracy niektórych konwojentów. Sprytni fałceci, wiedzą jak organizować sobie lekkie życie. Za dostawę towarów w „pierwszej kolejności” — lapówečka, za przeniesienie towarów ciężkich — lapówečka, zwłaszcza, że w sklepie są kobiety. Za jedno i drugie świadczenie razem — jedna lapówečka i wymuszenie. Sklep musi przyjąć towar niechodliwy.

Z tych wszystkich mankamentów, pisaliśmy już o tym, zdają sobie sprawę nasze władze. Na specjalnej naradzie, w której brali udział przedstawiciele KŁ PZPR, postanowiono ze złem skończyć. Ani to proste, ani skutki od poniedziałku spodziewać się nie należy, lecz coś się już robi. To ważne.

Mimo kanikuly

Okazuje się, że mimo pięknego i upalnego tegorocznego lata, a co za tym idzie również i masowego odpływu większej części mieszkańców Łodzi i województwa do miejscowości wczasowych i wypoczynkowych, czytelnictwo łódzkiej prasy porannej nie tylko, że nie zmalało, ale nawet poważnie wzrosło w stosunku do lat ubiegłych. Jeżeli średnia dzienna sprzedaż w miesiącu lipcu 1961 roku wynosiła łącznie (Głos Robotniczy, Dzieńnik Łódzki, Express Ilustrowany) 253.193 egzemplarzy, w roku 1962 — 271.302 egz., to w analogicznym okresie roku bieżącego wynosił 281.000 egz. Spośród trzech łódzkich dzienników, największy wzrost sprzedaży w okresie największej kanikuly lat 1961—1963 notuje się przede wszystkim w „Głosie Robotniczym” — a więc w organie KW i KŁ PZPR.

W roku 1961 średnia dzienna sprzedaż „Głosu Robotniczego” w miesiącu lipcu wynosiła 90.118 egz., w roku 1962 — 110.367 egz., a w roku bieżącym nawet 127.000 egz.

Jest to jedyny dziennik łódzki mający systematycznie wzrastającą z roku na rok nakład i obawiamy się, że po zakończeniu sezonu wakacyjno-urlopowego, kiedy nastąpi z kolei masowy przyływ liczyli urlopowiczów oraz młodzieży szkolnej i studenckiej, zaistnieć może sytuacja iż wystąpi brak tego pisma w sprzedaży komisowej.

Aktualności z myszka

ROCH PEKIŃSKI

ZŁE

Włóż pelerynę, o duszo moja,
— Conditio sine qua non —
Idź do redakcji o duszo moja
I „poetycki” nieć „plon”

Weź honorarium, o duszo moja!
„Druk — to ohyda”? — Ech — pluj!
Czternaście razy po dziesięć groszy
Dostaniesz za sonet swój...

Idź do kawiarni, o duszo moja!
I prz: stółku siadź.
A w szklance kawy, o duszo moja,
Jak w sobie, ty... a mając...

He-he... w porządku: krawat i... mina,
Z najlepszych sfer decadenit!
Kawka... pieniążki i peleryna
Li-te-ra-tur-ka, comment?

*) Z nieznanych wierszy J. Tuwima drukowanych pod pseudonimem Rocha Pekięńskiego w „Zyciu Łodzi” (rok 1914)

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 68, Tel. 244-78
Warunki prenumeraty: miesięcznie z 4; kwartalnie z 12.
Redakcja nie zamawia rekwizytów pocztowych. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”.
Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Żwirtd 17,
Zam. 2514 VIII 63, K-4



Więcej takich listów!

Z serii listów, które publikujemy, ten jeden zasługuje na szczególną uwagę. Ze zrozumiałych powodów nie podajemy nazwiska nadawcy. Rzecz, jak się wolno domyślać, dotyczy zagadnień poruszanych w niniejszej rubryce. Oddajmy głos nadawcy:

„miałam wiele trudności i kłopotów z moim zięciem — perswazyje najbliższych, rodziny, poradni przeciwalkoholowej nie pomogły. Nasz dzielnicowy ob. Biernat opiekował się moim zięciem, często przeprowadzał z nim rozmowy. L. zięć zmienił się na korzyść, jest mężem dla żony i ojcem dla swych dzieci. Ta droga pragmatylibymy przestał podziękowania dla ob. Biernata, który jest prawdziwym gospodarzem swojego terenu, a pracą i postawą zdobywa zaufanie i szacunek dla władzy MO...”

List krótki, ale jakie świadectwo wystawia dzielnicowemu, jak wiele mówi o jego pracy i świadczy, że nie ma „takowych terminów”, z których by przy ludzkiej pomocy nie można było się wydobyc. Zaznaczamy, że ów negatywny bohater listu (który jednak stał się w końcu pozytywnym) był nałogowym alkoholikiem.

Alkoholizm w Ameryce (I)

Wiadomość, która miała pozostać w tajemnicy, stała się wszystkim wiadoma. Najwcześniejszą się o to postarał znany tygodnik „Newsweek”. Wiele jak reagują czytelnicy na artykuły w gazetach. Piszą listy. Czasami dużo, niekiedy mniej. Tygodnik „Newsweek” wydrukował artykuł i otrzymał bardzo dużo listów. O wiele więcej niż na wszystkie inne artykuły. O czym ten artykuł traktował, że wzbudził tak poważne zainteresowanie? Został on opublikowany pod tytułem „Alkoholizm w Ameryce”.

Trzej znani naukowcy z uniwersytetu w Yale, badając w ostatnich latach alkoholizm w USA, doszli do bardzo przyciekrego odkrycia: że wśród 183 milionów obywateli Stanów Zjednoczonych jest ponad 80 milionów „pijaków z przyzwycajenia”. Gdy uświadomimy sobie, że ogólna liczba obywateli USA obejmuje starców, niemowląt, dzieci i niepełnoletnich, to stwierdzimy, że pije z przyzwyczajenia każdy kto w ogóle pić może. Naukowcy stwierdzili dalej, że z ogólnej liczby pijących 3.000.000 osób to notoryczni alkoholicy, spośród których 900.000 powinno znajdować się w sanatoriach jako nieuleczalni. Wśród nich przeszło połowę stanowią kobiety.

Przysłowia o pijaństwie

Mówią, że wódka serce weseli — to dlatego od niej, ladaco, głowa boli. (ukraińskie)